Nr. 5. Warszawa, dnia 17 (29) Stycznia 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

DWIEŚCIE MILIONÓW.

Nowy środek wzmocnienia niemczyzny „na kresach,“ zapowiedziany w mowie tronowej z d. 11 b. m., ukazał się już prawodawcom Izby poselskiej pruskiej w postaci żądania nowych stu milionów marek na wykupywanie ziemi z rąk polskich w W. Ks. Poznańskiem i Prusiech Zachodnich i rozdrabnianie jej między Niemców, ściąganych z innych prowincyj. Pierwsze 100 milionów wraz z ustanowieniem komisyi kolonizacyjnej i ograniczeniem praw przez konstytucyę zapewnionych, otrzymał rząd pruski od sejmu w kwietniu 1886 r. Rozprawy nad nowym pupilem pruskiego rozumu stanu rozpoczęły się d. 20 b. m. Obecny zamach motywowany jest ostrzej, niż dawniejszy. W r. 1886 prawiono o postępującem wciąż rozpościeraniu się narodowości polskiej; w r. 1898 wskazuje się już jako przyczynę wywołującą „takie zachowanie się Polaków w słowie i piśmie, że skutki jego widoczne są już w *uciskaniu ludności niemieckiej* pod względem społecznym i ekonomicznym.“ W r. 1886 nawet wielki Bismarck nie chciał pierwszy iść w ciemność, wysłał na zwiady Achenbacha i jego wniosek ośmielający rząd do działania; w r. 1898 ministrowie ciągną już Izbę za sobą. Wezwanie *do obrony* Niemców przeciwko rozpościerającemu się wciąż żywiołowi; zaręczenie, że się dąży tylko do utrzymania pokoju i umożliwienia dobrobytu spokojnym obywatelom — ukazują cały ogrom tej przewrotności, którą się pruski rozum stanu od czasów Fryderyka stale wykarmia.

Uzasadnienie projektu żywem słowem przez ks. Hohenlohego jako prezesa ministrów pruskich (20 b. m.) przejęło z produkcyi atramentowej i wzrost drobnej własności polskiej i propagandę niebezpieczną i wreszcie wyparcie się dążności nieprzyjaznych; ale dodało do nich nowe ornamenta, jak te: że rząd musi od Polaków wymagać spełniania obowiązków pruskich, powściągać nienawiść ich ku Niemcom, powybijać im z głów nadzieję oderwania tych prowincyj lub wyodrębnienia ich jako samoistnej federacyjnej całości. I na to wszystko środkiem koniecznym, środkiem niezawodnie skutecznym ma być — zasilenie komisyi kolonizacyjnej nowymi stoma milionami! Wzmianka o oderwaniu i federalizmie nabiera jeszcze większej jaskrawości w świetle słów bismarkowskich, przytoczonych przez kanclerza: „Musimy utrzymać w naszych rękach wolną drogę z Wrocławia do Królewca.“ Gdy się nad tem pomyśli, przychodzi się do zajmującego wniosku: Oto rdzennym dla spadkobierców Fryderyka II-go jest Królewiec, rdzennym Wrocław, a Poznań niezbędnym tylko dla połączenia obu tych rdzenności. Nie ks. Bismarck taką rolę Poznania wynalazł: już na kongresie wiedeńskim 1814 i 1815 r. obcięcie Księstwa Warszawskiego, uszczuplenie go o departamenta zachodnie usprawiedliwiała dyplomacya pruska potrzebą komunikacyi między Szląskiem a obu prowincyami północnemi, których nazwę oręż, podstęp i zręczność rozpostarły zczasem na całe państwo. Posiadanie tych departamentów miały Prusy już z góry zapewnione przez układ kaliski z d. 28 lutego 1813 r., w zamian za uznanie na wieczne czasy praw Rosyi do pozostałej po obcięciu reszty Księstwa Warszawskiego.

Krasomóstwo ks. Hohenlohego zaręcza, że w projekcie niema nic nieprzyjaznego dla Polaków, a jakby mu to jeszcze nie wystarczało, przypomina troskliwość stałą rządu pruskiego o ich materyalny i duchowy dobrobyt. Za tę troskliwość „stawiamy im żądanie — mówił książę — aby spełniali swe obowiązki jako Prusacy i byli wiernymi poddanymi króla pruskiego.“ A dalej: „Wśród Polaków dają się dostrzegać dążenia, budzące nienawiść przeciwko Niemcom.“ Zdwojenie funduszu kolonizacyjnego ma do spełniania obowiązków zaprawić, wierności nauczyć, dążenia nienawistne uśmierzyć. Wszystko to znajdzie się kiedyś w samem zwiększeniu drobnej własności niemieckiej w obu prowincyach przez prawodawcę pruskiego od lat 12 operowanych. Tego wszystkiego wymaga interes państwa, równie silnie jak owej wolnej drogi z Wrocławia do Królewca. „Propaganda polska niebezpieczną jest dla monarchii pruskiej, a gdy idzie o monarchię pruską, tam niema kompromisu (*kein Kompromiss*).“ I znowu owe sto milionów marek dla komisyi kolonizacyjnej ma niebezpieczeństwo napiętnowanej propagandy odwrócić. Wszelkich pożytków we wszelkich życia dziedzinach i kierunkach — spodziewać się można z nowego posagu, żądanego dla oblubienicy bismarkowskiej. Dzisiejszy kanclerz wierzy w czarodziejską jakąś moc tych marek. Wielki jego, za życia już pomnikowany poprzednik ks. Hohenlohego marzył tylko o tem, żeby za owe 100 milionów, któremi wyposażono komisyę na początek, rząd pruski wykupić mógł 200,000 hektarów ziemi polskiej; sam książę Hohenlohe marzy już o wynarodowieniu — bo taka jest ostateczna wypadkowa sofistyki książęcej — za pomocą nowych stu milionów. Życie ze skromniejszej nadziei Bismarcka zostawiło tylko strzępy; za 70 milionów dotychczas wydanych komisya nabyła niecałe 30,000 hektarów, a osiedliła na nich zaledwie 1,975 kolonistów niemieckich. Wspanialsze nadzieje ks. Hohenlohego będą miały wykładnik szczęścia jeszcze mniejszy.

Minister rolnictwa Hammerstein zastąpił

obronę Niemców od napaści polskich potrzebą szerzenia kultury niemieckiej: był więc już od kanclerza szczerszym. Silniej też minister-rolnik odczuwa wszystkie krzywdy, wyrządzone przez Polaków, wszystkie dobrodziejstwa, wyświadczone przez Niemców. „Skutkiem ojcowskiej pieczołowitości rządu ucierpiał żywioł niemiecki“ — literalnie czytamy w urzędowem sprawozdaniu z posiedzenia Izby poselskiej sejmu pruskiego w d. 20 stycznia. Zdrowy rozsądek staje tu już u kresu, wszelkie rozumowanie drętwieje. Tu dzika namiętność pędzi jak zwierz juszony i pęd jej powstrzymać może tylko sama niemożliwość osiągnięcia celu. Projekt stanie się prawem; komisya tanie nowe 100 milionów marek i wy[...] za nie nowe 30,000 hektarów. Statystyka Bismarcków i Luciusów, roztaczana w r. 1886 przed posłami sejmu pruskiego, ustanowiła własność większą szlachecką w W. Księstwie na 656 443, drobną włościańską na 655 700 hektarów: [n]iedwie dwudziesta część tego obszaru [s]tanie się w ręce niemieckie.

[Z]apewne, i dotychczasowa i ta nowa przeżywana strata osłabią społeczeństwo, [k]tórem prawodawstwo pruskie walkę [od] czasów Bismarcka podjętą dalej prowadzi. [Zie]mia daje podstawę i moc, ziemia żywi, przytula, osłania i posiadanie jej wielkiem jest bytu warunkiem; ale jest coś od [zie]mi wyższego: człowiek. Energia i pracowitość społeczeństwa pozwolą żywotności pieranej ze wsi organizować się w miastach. Ten ruch rozpoczęty już po pierwszym [u]sie udaremni cel istotny nowych środków prawodawczych i administracyjnych. [Społe]cie nie da się zabić milionami marek, [je]śli na straży jego stanie wola własna — [jed]na, wytrwała i czysta. Tę czystość, [ucz]ciwość publiczną głównie pielęgno[wać] potrzeba.

[T]ydzień polityczny. Dnia 20 b. m. Izba poselska pruska rozpoczęła narady nad żądaniem 100 [mil.] marek dla komisyi kolonizacyjnej w Poznańskiem i Prusiech Zachodnich. Jako orędownik wystąpił ks. Hohenlohe; dopomógł mu p. Hammerstein [i k]ilku konserwatystów i narodowców. Odpierali żądanie Walle ze środka i wolnomyślny Munckel. Projekt odesłano tego samego dnia do komisyi.

Wiry naokoło Dreyfussa coraz gwałtowniejsze. D. 22 b. m. Cavaignac wniósł swą interpelacyę. Gdy ją po wyjaśnieniach Meline'a cofnął, socyalista Jaurès pochwycił pasmo i snuł je dalej. Monarchiści, broniący „honoru armii“ wespół z oportunistami idącymi za rządem, który sami popychają, wywołali bijatykę karczemną. Prezydent Brisson przerwał posiedzenie. Obrońca rewizyi procesu z roku 1894 mowy swej dokończył w poniedziałek. Stanowisko p. Meline'a było niewzruszenie odporne, argumentacya słomiana, ale powodzenie w Izbie świetne— a o to tylko chodziło. Billot wraz z całą partyą wojskową rewizyę uważa za zamach na honor armii, na armię samą: z po za płytkości ministrów przeziera zieleniejąca z gniewu pycha żołdacza. Brialmont ogłosił list, w którym skazanie Dreyfussa uważa za hańbę armii francuskiej. Zola odbiera coraz liczniejsze dowody uznania z całej Europy, nawet z Petersburga. Wyznaczono mu termin sądowy o zobelżenie armii na 7 lutego. Na obronę swoją obwiniony powołał kilkudziesięciu świadków (dzienikarze wiedzą już o 104, liczba z kajeciku Artona) — zagranicznych nawet dyplomatów, Casimir-Periera, najpierwszych generałów i uczonych. W kraju wzburzenie panowało przez cały przeszły tydzień z charakterem nieprzyjaznym dla rewizyi i dla Zoli. Ruch przedostał się za morze i w Algerze chwycił za głownię i nóż, rzucając się już wyraźnie, nie na stronników rewizyi lub Dreyfussów, ale na Żydów. Agitacya, podsycona uporem rządu, wyżęła ze społeczeństwa nieczyste żądze antisemickie. [...] rzec można, że teraz właśnie organizować się zaczął we Francyi antisemityzm.

Na Kubie poddanie się powstańców dotyczy tylko jednego oddziału; inne nie zaprzestają walki. Było większe starcie, dla rządowych pomyślne. Powstańcy za to wysadzili w powietrze dwa pociągi kolejowe i zniszczyli cały jeden obóz. Stany Zjednoczone wysyłają okręt.

W Pradze obstrukcyonizm ucichł dopiero na początku bieżącego tygodnia. Sejm lwowski uchwala adres do cesarza.

Na gubernatora Krety urzędownie już kandydaturę swoją postawił ks. Jerzy grecki. Porta się o[...]

W Konstantynopolu zapowiadają zmianę mini[sterstwa].

Na dalekim Wschodzie Anglia przekonała się, że winogrona trochę jeszcze za kwaśne: pod naciskiem Rosyi wycofała się z Port Arthur, o Talien-wanie już nie myśli. Pożyczka przechodzi w stadyum elegijnej żałości. Coraz lepiej: a tu ministrowie angielscy pp.: Balfour, Hicks-Beach, Chamberlain, nie przestają prawić o nietykalności interesów i niezawodności potęgi angielskiej!

ŻYCIE SPOŁECZNE.

„URANIA“ WARSZAWSKA

Roku zeszłego pewne grono ludzi, ożywionych pragnieniem uprzystępnienia wiedzy ogółowi, postanowiło stworzyć w Warszawie coś podobnego do „Uranii“ berlińskiej lub „Sorbony“ paryskiej. Chcąc takie wykłady stale urządzić, trzeba przedewszystkiem mieć lokal odpowiedni, posiadający salę prelekcyjną, przyrządy, aparaty, muzea i gabinety. Na to niezbędne byłyby olbrzymie środki, których ubogie i mało w tym zakresie skłonne do ofiar społeczeństwo nie potrafiłoby dostarczyć. Inicyatorowie w swojem gronie zebrali zaledwie kilka tysięcy rubli i stosownie do tych środków musieli na razie zamiar swój uskutecznić w rozmiarach dość skromnych. Wyjednano mianowicie salę Muzeum przemysłu i rolnictwa, gdzie urządzono w jesieni, że tak powiem,—próbne wykłady z doświadczeniami. Mównicę zajęło pięciu prelegentów i wypowiedziało dwanaście odczytów o wodzie, właściwie zaś o zjawiskach fizycznych i chemicznych: p. Bronisław Znatowicz o wodzie, jej właściwościach fizycznych i chemicznych, p. Napoleon Milicer o wodzie morskiej, p. Stanisław Kramsztyk o wodzie w stanie płynnym, lotnym i stałym, p. Wróblewski o oceanie i wreszcie p. Józef Morozewicz o działaniu wody na ląd.

Wykłady powiodły się świetnie, sala była przez dwanaście wieczorów przepełniona słuchaczami, widocznie zaciekawionymi. W przystępnych, barwnych wykładach, uplastycznionych wybornie wykonanemi doświadczeniami i obrazami niknącymi, mówcy odsłonili ten świat, z którym stykamy się codziennie, a jednak nie mamy o nim dokładnego pojęcia.

Po kilkomiesięcznej przerwie wkrótce znowu rozpoczną się odczyty, które wy-

---

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

OBYCZAJE KATORGI.

Byt wewnętrzny. — Terpigorcy i krugobołotyńcy.— Podział na kasty. —„Iwany.“—„Czyny bohaterskie“ Iwanów. — Dola „Matwieja.“ — Bezterminowy „doświadczeniec.“ — Głowacki. — Chrapy. — Gracze i żygani. — Szpanka.

„Katorga“ — to nazwa urzędowa. Prywatnie nosi ona miano ironiczne: „kobyłka.“

— Jak się macie?

— Tak sobie, wielmożny panie, nasza kobyłka jako tako żyje.

— Co to, także robotnik?

— Nasz, kobyłka!

Nazwa ta pochodzi od wyrazu „kobyła“ — ławka, na której biją skazańców.

Katorżnicy, jak wiadomo, są wysyłani na Sachalin dwiema drogami: albo morzem, albo też idą wzdłuż Syberyi lądem, przez Karę.

Stosownie do tego dzielą się oni na „krugobołotyńców“ albo „galetników“ i „karyjczyków“ lub „terpigorców.“

Nazwa „galetnik“ jest nawet potroszę pogardliwa.

— Co oni tam widzieli? Płynęli i jedli „galety“ *). Tylko tyle!

„Karyjczycy“ cieszą się pewnem uznaniem i poszanowaniem śród katorgi.

Wędrując po etapach syberyjskich, zaznali biedy i dlatego nazywają się „terpigorcy“ **).

W „centralach“ syberyjskich (więzieniach centralnych) i na Karze — przeszli oni wyższy kurs ciężkich robót, byli, że tak powiemy, w uniwersytecie katorgi. Znają wszelkie porządki, zwyczaje i prawa. Katorżnicy syberyjscy wogóle cieszą się poszanowaniem śród sachalińców: w Syberyi mocniej się trzymają. Mają własne, przez dziesiątki lat wypracowane prawa, silne, niezachwiane; istnieje towarzystwo, czego wcale niema na Sachalinie *).

Prędko jednak ta różnica zaciera się. „Krugobołotyniec“ szybko oswaja się ze zwyczajami i obyczajami katorgi i wtedy słowa: „karyjczyk,“ „galetnik“ dają się słyszeć tylko w połajankach:

— Milcz ty! Nie wiesz, z kim mówisz, *marakazya?* Jestem prawdziwy karyjczyk. A ty kto! Tfu! galetnik!

Katorga dzieli się na cztery kasty: 1) Iwanów, 2) Chrapów, 3) Graczów i 4) Nieszczęśliwą „szpankę.“

*) Prawdopodobnie pochodzi od nazwy francuskiej *galette* — suchar okrętowy. (*Przyp. tłom.*).

**) Od wyrazów rosyjskich: *tierpieť* i *gore*. (*Przyp. tłom.*).

*) Już opuściwszy Sachalin, we Władywostoku przeczytałem w gazetach, że dawniejsze piesze wędrówki etapowe zamienione będą na przewóz koleją tam, gdzie ona istnieje. Przeczytałem i ucieszyłem się z całej duszy, przypomniawszy sobie nieszczęśliwych „terpigorców.“ Iluż ludzi podziękuje za tę ulgę w ciężkiej wędrówce! Ile zbytecznych, niepotrzebnych cierpień usunięto! Ileż strasznych scen, rozgrywających się na tych etapach, przejdzie w dziedzinę podań! Jak znaczna liczba skazańców będzie poprostu zbawiona! W moich dalszych szkicach czytelnicy zobaczą, co to były te etapy i jaką ważną rolę one odegrały w życiu wielu katorżników. (*Przyp. autora*).

głoszą przyrodnicy i lekarze, pp.: dr. Stanisław Bartoszewicz, M. Ciemniewski, Samuel Dickstein, dr. Henryk Dobrzycki, dr. Maksymilian Flaum, Edmund Jankowski, Napoleon Milicer, Edward Natanson, Witold Wróblewski i Bronisław Znatowicz — wszystko ludzie znani z daru popularyzowania żywem słowem nauk przyrodniczych i nieposiadający zbyt dużo czasu do rozporządzenia po za obrębem swych zajęć obowiązkowych; tem większa ich zasługa. Należy tylko skorzystać z doświadczenia przeszłorocznego i nie obarczać publiczności dwugodzinnym wykładem. Odczyt powinien trwać najdłużej godzinę, albo nawet trzy kwadranse, słuchacze bowiem nie są jeszcze przyzwyczajeni do tak długiego natężenia uwagi, zwłaszcza podczas wykładów przyrodniczych.

Czy wogóle dużo im pozostanie w pamięci z tego, co usłyszą? U większości zapewne niewiele. Nie chodzi tu wszakże o wyuczenie terminologii przyrodniczej, związków i formuł chemicznych, bo do tego trzeba byłoby zaopatrzyć słuchaczów w książeczki i ołówki, a i w tym razie nawet byłby wątpliwy skutek. Chodzi głównie o to, ażeby ogół *zaprawić* do tych gałęzi nauk, rozbudzić uwagę i zamiłowanie, przygotować do czytania literatury przyrodniczej. Pod tym względem zdaje się pewien procent słuchaczów naszej Uranii skorzysta, jeżeli wykłady utrzymają się na stałe. Trzeba jednak z góry pogodzić się z tym smutnym faktem, że dość znaczny procent nietylko żadnej korzyści nie wyniesie, lecz nawet zrazi się do wykładów tego rodzaju. Pamiętajmy o tem, że salę odczytową zapełniają ludzie, stojący na różnych szczeblach ukształcenia i rozwoju umysłowego, że co dla jednych będzie zanadto popularne, to dla innych jeszcze niezrozumiałe i nużące. Jedni wyjdą z sali niezadowoleni dlatego, że im elementarne rzeczy wykładano, inni — że się zmęczyli i nie wzbogacili wcale swego umysłu. Na to trzeba być przygotowanym i zawsze liczyć na znaczny procent zniechęconych. Kto jednak patrzy na te zjawiska, u nas zupełnie nowe — uważnie, ten, przy największej dozie pesymizmu, musi przyznać, że wogóle systematyczne wykłady przystępne z nauk przyrodniczych przynoszą korzyść ogólowi. Znaczna większość mieszkańców wielkich miast składa się z ludności napływowej, która opuszcza tak zwaną „wieś“ i jej piękne otoczenie — naturę, albo obojętnie, albo z żalem, następnie wprzęga się do oschłych, uciążliwych obowiązków życia. Ta oschłość udziela się charakterom i duszom. Cóż mówić o tych mieszczuchach, którzy nigdy z blizka przyrodzie się nie przyjrzeli? Niech protokólarze życia społecznego mówią, co chcą, niech usiłują ludzi rozgrzewać teoryami idei i zadań. Ani te teorye, ani idee na suchym, wyjałowionym gruncie uczuć i wrażliwości, nie wyrosną tak obficie i silnie, jak tam, gdzie piękno i czystość przyrody jest pierwiastkiem użyźniającym. Może to niejednej duszy mieszczańskiej wyda się paradoksem, ale ludzie, głęboko wpatrzeni w życie i jego objawy, zawsze będą przekonani, że przyroda ze swymi najczystszymi pierwiastkami jest najpiękniejszą filozofią, która ułatwia przyjęcie i kiełkowanie wszelkim ziarnom współżycia społecznego, broni dusze ludzkie od oschłego zmateryalizowania się. Nie jest to czynnik jedyny, ale bądź co bądź — ważny w kształceniu jednostek i pobudzaniu ich do patrzenia po za obręb egoizmu.

Niech się „Urania“ rozwija, niech jej nie zrażają niepowodzenia i trudności pierwszych kroków. W rzędzie tych trudności ważne ma znaczenie brak ludzi — prelegentów zdolnych; ale miejmy nadzieję, że i ci z czasem się znajdą.

Na ubóstwo i brak chęci w tej mierze narzekał niedawno p. Bronisław Znatowicz we *Wszechświecie*: „Trudno uważać to wszystko za co innego, jak za dowód niesłychanego zobojętnienia na rzeczy publiczne. Niestety, młodzież nasza ma się na kogo powołać, jako na wzór swój i przykład, ponieważ taką samą obojętność na sprawę szerzenia wiedzy przyrodniczej widzi w wielu z pomiędzy tych, którzy z natury swego zawodu powinni być sprawy tej kierownikami. Jakże w takiem położeniu myśleć o Uranii? Przypuśćmy, że ktoś wydał pięćdziesiąt czy sto tysięcy na zakup okazów i przyrządów. Czy to już jest Urania? Nie — brak w niej jeszcze głowy, ust, ręki, a powiedzmy, i serca człowieka! Bez tego wszystkiego, to dopiero muzeum osobliwości. Prawda, że muzeum takie może dawać dochody, za które można będzie przy niem utrzymać płatnych nauczycieli publicznych; ale jaka to odpowiedzialność leżeć będzie na takim nauczycielu, któż to podejmie się tej czynności i kto ma nią kierować?“ Na taką działalność, zdaniem p. Znatowicza, nasze społeczeństwo jest jeszcze za ubogie moralnie i umysłowo.

Całkiem podzielamy ten pesymizm szanownego profesora, ale nie radzimy rąk opuszczać. Siły takie z czasem można będzie wydobyć ze społeczeństwa, bądź co bądź, zdolnego, a wtedy „Urania“ niech się nie zasklepi w Warszawie. Obowiązkiem społecznym organizatorów i kierowników będzie rozrzucić filie w główniejszych ogniskach życia na prowincyi.

LISTY PETERSBURSKIE.

Kolej Syberyjska i wielki kanał morski — Wpływ szlaku europejsko-azyatyckiego na stosunki ekonomiczne i polityczne. — Wzmożenie floty wojennej i handlowej. — Obliczenia turysty i szybkość biegu pociągów w Rosyi.—Dwie sprawy. — Kobieta w adwokaturze. — Prof. Zacharin.

Za cztery lata będą dokonane dwa wielkie dzieła, które olbrzymi przewrót mogą wywołać w życiu ekonomicznem i politycznem: oddziałać na interesy i stosunki nietylko wewnętrzne, lecz i międzynarodowe. Mianowicie będzie to skończenie kolei Syberyjskiej i przeprowadzenie wielkiego kanału bałtycko-czarnomorskiego, o którym przed dwoma zdaje się laty pisała *Prawda*. Z tego powodu *Peterb. Wied.* w osobnym, obszernym artykule uwydatniają znaczenie owych połączeń. Zdaniem tego organu,

Jest to arystokracya i demokracya katorgi, klasy rządzące i masy podległe, patrycyusze, plebejusze i niewolnicy.

„Iwany.“

„Iwany“ — to złe, to zaraza, to bicz katorgi. Jej despoci i tyrani.

„Iwan“ zrodził się pod rózgami; batem ochrzczony, wzniesiony do godności „Iwana“ ręką oprawcy.

Jest to typ historyczny. Zrodził się w tych strasznych czasach, których prawdziwe dzieje „niezatartemi zgłoskami“ zapisano na grzbietach starców „bogodułów“ derbińskiej dobroczynności katorżnej.

Zrodził się w Karze, w „epoce Razgildiejewa,“ o której i obecnie ludzie wspominają ze strachem *). Wtedy w „rozcięciu,“ z którego wydobywają złoto, zawsze była na pogotowiu „kobyłka,“ a na dyżurze oprawca. Rózgi tam liczono na setki, i to tylko z „jednej strony,“ tj. człowiekowi skazanemu np. na sto uderzeń, oprawca wymierzał setkę z jednej strony, a następnie przechodził z drugiej i bił jeszcze sto razy. Przytem setka ostatnia nie wchodziła w rachubę. Dwa uderzenia liczyły się za jedno. Bito nie rózgami, lecz „komlami,“ tj. brano rózgę za koniec cieńszy i uderzano grubszym. Już po pierwszem uderzeniu pokazywała się krew. Rózgi pękały, a drzazgi wbijały się w ciało. Lekcye były większe, każda zaś niedokładność w ich wykonaniu pociągała za sobą karę natychmiastową.

Wszelka wina, najmniejsze zuchwalstwo, drobna opozycya okazana prostemu dozorcy, pociągała za sobą okrutne znęcanie się.

W tych to ciężkich czasach, śród świstu rózg, „komli“ i batów przyszedł na świat „Iwan.“

Straszny zbój, katorżnik długoterminowy, który nic nie miał do stracenia i żadnych nadziei. Wyrażał on swój protest w imieniu tej całej zgnębionej, przybitej i odartej katorgi. Protestował śmiało i zuchwale — przeciwko wszystkiemu: karom niesprawiedliwym, „lekcyom“ nad siły, jadłu lichemu i wreszcie przeciwko tym śmiesznym, dziecinnym kurtkom, które dawano skazańcom jako „ubranie według wzoru uprawnionego.“ „Iwan“ nie milczał przed żadną władzą. Protestował śmiało, zuchwale na każdym kroku. „Iwanów“ przykuwano do ściany, do taczek, zakuwano w kajdany ręczne i nożne, bito „komlami“ i batami. Uderzenia tymi ostatnimi liczono po parę tysięcy, w biciu zaś rózgami tracono zupełnie rachunek.

Wszystko to otaczało ich aureolą męczeństwa. Wywoływało szacunek.

Władza ich biła, ale i bała się zarazem. Byli to ludzie, którzy nie wahali się w każdej chwili wbić noża pod żebro, którzy temu, co ich obraził, roztrzaskiwali głowę kajdanami ręcznemi.

Byli oni wtedy czemś w rodzaju „orderu rycerskiego,“ „ludźmi, co słowa dotrzymują“: „Powiedział, a więc spełni!“

Stary „Iwan“ Pazulski, słynny niegdyś na południu ataman band rozbójniczych, dał w Chersonie słowo, że zarżnie pomocnika inspektora więziennego, za krzywdę od niego doznaną. Następnie uciekł, był poznany, po dwu latach dostał się do więzienia chersońskiego i dotrzymał słowa: zarżnął!

Takie czyny wywoływały obawę, strach przed „Iwanami.“

Groźni dla inspektorów i dozorców, ci ludzie, zdecydowani na wszystko, byli także groźni i dla katorgi.

*) Razgildiejew, ówczesny naczelnik katorgi karyjskiej. Czasy zbliżone do epoki „Martwego domu.“

wpływ Rosyi na Japonię i Chiny powstał z życia historycznego: „Wszakże Japonia, chociaż w szybszem tępie, przechodzi ten sam proces kultury zapożyczonej, który przechodziła i przechodzi Rosya do chwili obecnej. Ta właśnie okoliczność jest jedną z ważnych przyczyn, dlaczego młoda i energiczna w stworzeniu cywilizacyi Japonia, jak również Chiny, zwracają wzrok ku Rosyi, bardziej dla nich zrozumiałej i bliższej historycznie, nie zaś ku Zachodowi, którego cywilizacya i kultura zbyt jest daleką od nich.“ Ten łącznik Rosya stara się wyzyskać i wpływ swój na Wschodzie rozpostrzeć, tudzież utrwalić na podstawach ekonomicznych.

Wielka kolej żelazna od Moskwy do Władywostoka będzie tą ważną arteryą wpływów ekonomicznych i politycznych. Rosyi głównie chodzi o rozwój handlu morskiego na oceanie Spokojnym, przedewszystkiem zaś o zawiązanie stosunków w tej mierze z Japonią. Z chwilą doprowadzenia kolei do wybrzeży morskich, bogate produkty surowe prowincyi Amurskiej i Syberyi Wschodniej będą ciężyły przeważnie ku ogniskom nadmorskim, a następnie drogą wodną pójdą one dalej za granicę. Ale chcąc to uskutecznić, należy stworzyć ogromną flotę handlową na oceanie Spokojnym — niezwłocznie. Jest to zadanie niezmiernie trudne. Trzeba dążyć za postępem i udoskonaleniami. Tym czasem w pośpiechu popełniono wiele pomyłek. Owe postępy szybkie, zwłaszcza w budownictwie okrętowem, wykazały przedewszystkiem dotkliwy brak fachowców. Nawet pomimo środków pieniężnych niepodobna w krótkim czasie zdobyć się na należyte warsztaty okrętowe i fabryki odpowiednie. Do chwili obecnej tak olbrzymia produkcya, jak żelazne części floty (głównie pancerniki) są pochodzenia zagranicznego. Obecnie wszelkiemi siłami rząd stara się kosztem skarbu rozwinąć produkcyę tej dziedziny. Nadto, prawo „kabotażowe“ (żeglugi pobrzeżnej) ma głównie na celu rozwój warsztatów okrętowych i obecne wcale nie odpowiada potrzebom państwa, w zakresie zwiększenia floty wojennej i handlowej. Pomimo nadzwyczajnych wysiłków i zabiegów, Rosya dotychczas musi budować okręty za granicą. Przeważna część pancerników, okręty floty ochotniczej i statków żeglugi wołżańskiej, pochodzi z Anglii, Francyi i Belgii.

Oto przyczyna, dlaczego Rosya dotychczas nie mogła się zdobyć na armię fachowców w tej dziedzinie. Setki milionów rubli wędruje za granicę, przemysł krajowy — budownictwo statków, nie może się rozwinąć skutkiem tego wcale, a zarazem niepodobna wytworzyć niezbędnej rzeszy pracowników.

Wobec takiego stanu rzeczy wzbogacenie państwa należytymi warsztatami okrętowymi byłoby faktem niezmiernie doniosłym w dziejach budowy statków. Ale i w tym razie należy oczekiwać pomocy z za granicy. Niedawno baron A. Stronberg jeździł do Anglii, gdzie, dzięki nowemu prawu „kabotażowemu,“ udało mu się przekonać Towarzystwo tamizańskie produkcyi żelaznej i budowy statków, że tworzenie warsztatów okrętowych w Rosyi nad morzem Bałtyckiem będzie korzystne. Inicyator miał na celu: zbyt materyałów rosyjskich, dostarczenie pracy tysiącom rąk robotniczych i obeznanie ich z nowym fachem. Towarzystwo powyższe (*Thames iron works company*) przychyliło się podobno do propozycyi powyższej i przyjęło warunki następujące: przedsiębiorstwo nie wymaga żadnej zapomogi od rządu rosyjskiego; chce tylko rękojmi, że będzie miało zamówienia. Ognisko produkcyi nad Bałtykiem wybiera dowolnie, z wyjątkiem Petersburga, gdzie jest płytka woda i brak miejsca odpowiedniego. Robotnicy będą wyłącznie rosyjscy, z wyjątkiem administracyi, techników, monterów i instruktorów. Najdłuższy termin budowy statku największego — półtora roku. Jest to niezmiernie ważny warunek wobec dzisiejszego rozwoju techniki.

Towarzystwo powyższe jest jednem z największych w świecie. W ciągu przeszło półwiekowego istnienia wybudowało ono 830 okrętów ogółem na 400,000 ton. Wiele państw europejskich, oraz Japonia zwracały się do niego z zamówieniami. Różne oddziały fabryczne tego przedsiębiorstwa nad Tamizą tworzą formalne duże miasto przemysłowe. Przy fabrykach i warsztatach istnieją kursy specyalne. Towarzystwo buduje nietylko okręty i mosty, ale nadto zajmuje się innemi specyalnościami. Urządziło ono także utylizacyę spadku wody w Niagarze. Pomoc takiego przedsiębiorstwa może mieć olbrzymie znaczenie dla floty rosyjskiej. Prócz tego stworzy ono wielki wewnętrzny rynek pracy i zatrzyma duże kapitały w obrębie państwa. Wreszcie zrodzi armię fachowców, którzy następnie przyczynią się do urządzenia warsztatów okrętowych, zwłaszcza na Wschodzie dalekim, na wybrzeżach oceanu Spokojnego.

Najwłaściwszem ogniskiem Towarzystwa tamizańskiego w obrębie Rosyi byłaby Libawa, w której pobliżu połączy się z morzem ów wielki kanał Bałtycko-Czarnomorski. Ta nowa arterya wodna również przyczyni się bardzo do spotęgowania i rozwoju floty rosyjskiej, wojennej i handlowej.

Z tego krótkiego zarysu widzimy, jaką potęgę za lat kilka może dać komunikacya morska, przecinająca wielką przestrzeń lądową od północy ku południowi za pośrednictwem Dźwiny Zachodniej i Dniepru, oraz olbrzymia droga kolejowa, przecinająca całą długość państwa w Europie i Azyi.

Na kolej Syberyjską zwróciła już uwagę Europa; ekonomiści, dziennikarze i podróżnicy budują na tej komunikacyi wspaniałe rachuby. Będzie to istotnie z czasem główna droga europejsko-azyatycka, łącząca również, jak amerykańska, dwa te same oceany: Atlantycki ze Spokojnym. Niektóre wszakże wyliczenia i plany są przedwczesne. Np. Emil Gautier w piśmie *La Croix de Lorrain* utrzymuje, że za pośrednictwem kolei Syberyjskiej można będzie odbyć podróż na około świata w ciągu 33 dni. Turysta wyjeżdża z Bremy, według następującej marszruty: Brema—Petersburg 1½ doby koleją żelazną, Petersburg—Władywostok 10 dni koleją, Władywostok—S. Francisko wodą 10 dni, S. Francisco—New-York koleją 4½ dni, New York—Brema wodą 7 dni, razem 33. Wyliczenia te podaje w wątpliwość pewien współpracownik komisyi kolejowej hr. Baranowa. Przedewszystkiem mylnie jest wzięta szybkość jazdy z Petersburga (48 kilometrów na godzinę koleją żelazną, 18 mil. parowcem). Rzeczywista szybkość jazdy z Petersburga daleko będzie odbiegała od obliczeń p. Gautiera. Najszybszy pociąg w Rosyi na najlepszej kolei żelaznej Mikołajewskiej, przebiega na godzinę około 46 wiorst, na Moskiewsko-Kazańskiej pociąg pospieszny około 35 wiorst, na Syzrańsko-Wiaziemskiej pocztowy — 26, na Czelabińsko-Omskiej — 19, a więc przeciętnie 30 wiorst na godzinę, czyli o $^2/_3$ mniej, niż potrzeba według wyliczeń p. Gautiera, który w dalszej, a niezbyt odległej przyszłości przewiduje jeszcze krótszą podróż na około świata: w ciągu 25 dni. Potrzebny tu jest wszakże drobny warunek: szybkość jazdy w stosunku 70 kilometrów na godzinę. Inni znowu wyliczają bajecznie szybki obieg towarów dokoła kuli ziemskiej. Jakże jednak na to

---

To byli jej despoci, tyrani, rabusie.

„Iwan“ prosto, otwarcie, wobec wszystkich, zabierał katorżnikom ostatnie ciężką pracą zdobyte okruchy i natychmiast w oczach gospodarza przepijał, przegrywał, przeszachrowywał je i nie znosił żadnej nagany.

— Co?! Ja za was, takich owakich, ciała, krwi nie żałuję; gdy trzeba — powroza się nie boję, a wy...

Wszelkie najgorsze czyny „Iwana“ katorga musiała ukrywać. Często odpowiadała za niego własną skórą. Jeżeli za przestępstwo spełnione przez „Iwana“ karano innego, ten, niewinny, musiał milczeć.

— Ja także cierpię za was!

„Iwany“ tworzyli osobne towarzystwo, działali solidarnie i byli nieograniczonymi władcami katorgi, panami życia i śmierci, prawodawcami, sędziami i katami. Wydawali i wykonywali wyroki, nieraz wyroki śmierci, nigdy nieuchylane.

Śród niezliczonych strasznych podań z tych czasów, dotąd w katordze skazańcy opowiadają o „kaźni“ w więzieniu omskiem.

Dwu „Iwanów“ postanowiło uciec. Gdy naraz, prawie w przeddzień dokonania zamierzonego planu, zakuto ich w ręczne i nożne kajdany, wzmocniono straż i uniemożliwiono ucieczkę.

Przez dwa miesiące „Iwany“ więzienia omskiego prowadzili tajne śledztwo w poszukiwaniu donosiciela.

Wreszcie utwierdzili się w domniemaniu, że winien jest jeden z więźniów. Podczas gdy on niczego się nie domyślał, „Iwany“ wydali wyrok śmierci. Innej kary za wykrycie planu ucieczki katorga nie zna.

Dwie noce pracowali pokryjomu, wyjęli kilka desek koło ściany pod tapczanami, wykopali dół i trzeciej nocy rzucili się na śpiącego towarzysza, zatkali mu usta, zanieśli do jamy i zakopali żywcem.

Wszyscy więźniowie wiedzieli o tem i wszyscy milczeli ze strachu.

Gdy następnie podczas rannego przeglądu władza spostrzegła brak jednego człowieka, powiedziano, że niepostrzeżenie wyślizgnął się i uciekł.

Dopiero po roku, gdy przerabiano więzienie omskie, pod ścianą na głębokości półtora arszyna, znaleziono szkielet w kajdanach.

Przestępców nie wykryto. Nikt ich nie wydał, bo nikt nie śmiał tego uczynić.

„Iwan“ — to zły geniusz katorgi.

Ile buntów więziennych wywołali oni. Ilu ludzi ucierpiało z tego powodu i jak okropnie! A „Iwany“ zawsze wychodzili cało, bo ich zawsze oszczędzała katorga.

„Iwana“ można poznać odrazu, jak się tylko wejdzie do więzienia.

Czapka nasunięta na ucho, koszula z kołnierzem wyszywanym, kapota ledwie się trzyma na jednem ramieniu, ręce w kieszeni.

Spojrzenie impertynenckie, zuchwałe, wyzywające. Zachowanie się niesłychanie gburowate, szorstkie.

Człowiek jest łatwo narażony na nieprzyjemność.

Jest to ten sam, „na wszystko skory“ zbój, długoterminowiec. Inspektorowie starają się ich unikać, maskując zwykle swój strach twierdzeniem, że „z takimi łotrami nawet rozmawiać nie chcą.“ Dzięki temu „Iwanom“ uchodzi bezkarnie to wszystko, co nie uszłoby nieszczęśliwej „szpance.“

„Iwan“ — to także złe i bicz dla tych wszystkich w katordze, którzy posiadają jeszcze jakie takie dobre pierwiastki.

Są to najwięksi wrogowie każdego skrzętnego więźnia, najmniejszego „dostatku.“

w rzeczywistości trzeba będzie długo czekać, skoro np. dziś na kolei Syzrańsko-Wiaziemskiej towary wędrują z szybkością... 7 wiorst na godzinę! Szybkość ta jeszcze się bardziej zmniejszy, jeżeli w przewozie będzie stosowana metoda, jaką wybornie opisał Czechow w jednym obrazku, którego bohaterem jest kupiec, wiozący osiem wagonów wołów z południa na północ. Różne przeszkody, czynione przez maszynistów, nadkonduktorów, zawiadowców i... smarowników, wprawiały go w wielkie zakłopotanie i zmuszały do smarowania nie kół, lecz rąk ludzkich.

Wszystkie niemal pisma rosyjskie zamieściły obszerne sprawozdania i artykuły rozumowane, dotyczące dwu głośnych procesów. W Petersburgu na ławie oskarżonych zasiadł uczony, wielce honorowany i nagradzany za dzieła swoje, profesor zwyczajny pewnej akademii, członek pewnego komitetu, ozdoba życia towarzyskiego, człowiek zamożny. Oddano go pod sąd za... lichwę. Na swoje uniewinnienie powiedział sędziom, że karygodne operacye finansowe prowadziła jego żona. Z tego powodu *Peterb. Wied.* rzucają ogółowi pytanie: „Jak mógł dojść do takiego upadku moralnego człowiek wielce ukształcony, wychowany w zakładzie naukowym, słynnym z tradycyj swoich, którego uczniowie cieszą się dobrą sławą?„ „Działalność karygodną uprawiał on przez długi czas. Nie mogła ona być tajną dla osób, które miały z nim pewne stosunki. Czyż nikogo nie było, ktoby go powstrzymał, wskazał zbrodnicze postępowanie? Proces nie daje na to żadnej odpowiedzi. Ale jeżeli rozejrzymy się śród siebie, jeżeli śmiało, otwarcie ocenimy tę opinię publiczną, którą samiśmy stworzyli, to się znajdzie odpowiedź. Nigdy, zdaje się, nie traktowano tak lekko, jak dzisiaj, najelementarniejszych podstaw moralnych."

Inny proces rozstrzygnięto w Moskwie. Przed obliczem sprawiedliwości stanął jej sługa — sędzia śledczy, pod zarzutem fałszerstwa i roztrwonienia. Obu winnych skazano na bardzo ciężką karę.

Przed laty prawie trzydziestu wielką wrzawę w kole prawników wywołało wejście do ich szeregów współzawodniczki. Była to pierwsza w Rosyi kobieta-adwokat, panna Koźmina. Obecnie z powodu nowych zabiegów kobiet, kołaczących do wrót Temidy, prasa rosyjska przypomniała dzieje tej kobiety i jej walki z przeszkodami. Po skończeniu gimnazyum w Wiatce, po kilkoletniej pracy nauczycielskiej, wstąpiła na kursy wyższe w Kazaniu, następnie obeznawszy się z dziedziną sądowo-prawną praktycznie, postanowiła poświęcić swoje siły obronie ludu ubogiego. Jakoż rozwinęła działalność w tej mierze, zyskała uznanie i powodzenie. Ale oto nowe przepisy, ogłoszone w r. 1874, zaliczyły ją do kategoryi adwokatów, którzy nie mogą praktykować. P. Kuźmina postanowiła jednak iść przebojem i po usilnych zabiegach uzyskała prawo do egzaminu, który zdała świetnie przy sądzie niższonowogrodzkim. Tam wygrała wiele spraw, nawet bardzo zawiłych, a w jednej z nich pokonała obrońcę strony przeciwnej, znakomitego mówcę, wychodzącego zawsze zwycięzko, adwokata Pietkiewicza. Od tego czasu sława jej rosła szybko i szeroko. Pewną sprawę włościańską musiała prowadzić w Moskwie, zwróciła się więc do izby sądowej w tem mieście z prośbą o dopuszczenie do egzaminu na stopień obrońcy prywatnego przy izbie. Odmówiono. Wtedy niezrażona kobieta zaapelowała do senatu i w tej instancyi zwyciężyła. Nie na długo jednak, bo oto w r. 1876 „wyjaśniono" prawo z r. 1871, na mocy którego zabroniono kobietom zajmować się adwokaturą. Tak się skończył charakterystycznie udział sił niewieścich w palestrze. Dwudziesty drugi rok dobiega od chwili tego pamiętnego odwrotu postępu. Dziś znowu coraz śmielsze dają się słyszeć głosy w sprawie dopuszczenia kobiet do adwokatury. Czy będą one wysłuchane, nie wiadomo.

D. 4 b. m. w Moskwie zmarł znakomity profesor miejscowego uniwersytetu, G. Zacharin. Zdobył on sobie wielką sławę jako niepospolity dyagnostyk oraz autor wielu cennych dzieł z zakresu medycyny. Na tem polu zyskał uznanie nawet za granicą. Przez długie lata wykładał terapię ogólną i był dyrektorem kliniki terapeutycznej. Jako powaga lekarska, był wzywany do łoża Cesarza Aleksandra III.

Paweł Krzyżanowski.

LISTY Z PARYŻA.

Ankieta alzacko-lotaryńska.

Franciszek Coppée ogłosił w lipcu 1897 r., w dodatku do jednej ze swych kronik czwartkowych w *Journalu* następujące oświadczenie:

„Trudno zaiste dobrze czynić.

Rzucona przeze mnie myśl wysłania zasiłku Alzacyi, doświadczonej ostatniemi nawałnicami, nie znalazła w opinii publicznej dostatecznego odgłosu. Choć bardzo mi to przykro, nie śmiem już ponawiać zalecania manifestacyi, która wtedy tylko miałaby znaczenie, gdyby była imponującą.

Z oznakami sympatyi, za które dziękuję, otrzymałem kilka datków na zapisy, właściwie jeszcze nie otwarte.

Zwracam je niezwłocznie osobom, których adres posiadam; co do tych, którzy przysłali mi dary bezimiennie, mogę tylko prosić o wskazanie mi możności odesłania im pieniędzy."

Tydzień temu umieścił był Coppée artykuł bardzo wymowny, przemawiający do uczuć patryotycznych na korzyść Alzacyi. Odpowiedziano mu obojętnością, nieprzewidzianą nawet przez sceptyków.

W pół roku potem miesięcznik *Mercure de France*, nabierający powoli cech *Revue des deux mondes*, ruchliwy i rzutki, postanowił zasięgnąć wśród publiczności francuskich bliższych wiadomości o jej sympatyi dla Alzacyi. Rozesłał więc do dwustu niemal osób różnego wieku i różnych stanów następujące zapytania:

1) Czy według pana uśmierzyły się nasze umysły w sprawie traktatu frankfurckiego?

2) Czy myślimy mniej o Alzacyi, chociaż, odwracając radę Gambetty, mówimy o niej zawsze dużo?

3) Czy może być przewidziana chwila, w której wojna z r. 1870—71 będzie uważaną za wypadek ściśle historyczny, bez większej wagi?

4) Czy wojna między dwoma narodami znalazłaby dziś we Francyi życzliwe przyjęcie?

Jednaką niemal jest odpowiedź na czwarte pytanie. Francya usposobiona pokojowo. Wojna nie wywołałaby entuzyazmu, „szlibyśmy na nią, bo musielibyśmy" — pisze młodzież.

Co do innych, poglądy są podzielone.

Ci, którzy stoją u steru rządów i którzy — jak zauważono złośliwie—dla swojej zgrzybiałości niezdolni są udźwignąć karabinu, posiadają animusz rycerski — niewysłowiony — rzekłbyś: pół kopy Rolandów.

„Mojem zdaniem — powiada Saint-Saëns — każdy człowiek, mogący myśleć bez oburzenia o traktacie frankfurckim, pocieszający się mniej lub więcej po stracie Alzacyi i Lotaryngii, uważający woj-

---

Stosownie do warunków, „Iwan" bądź odbiera otwarcie, bądź wyłudza podstępnie, bądź wprost kradnie skazańcowi każdy grosz, ciężką pracą zdobyty.

Ale czasy zmieniają się. Jednocześnie z nadejściem lepszych warunków dla katorgi, przychodzi gorszy okres dla „Iwanów."

Dziś już niema tych strasznych kar, a z „Iwanów" spadła aureola męczeństwa. W oczach katorgi stracili oni cały swój urok. Straszna władza tych tyranów już się kończy. „Iwany" wymierają.

Im łagodniejsze, im humanitarniejsze jest traktowanie, tem mniej zgubny wpływ „Iwan" wywierają na katorgę.

W więzieniu aleksandrowskiem, największem na Sachalinie, gdzie jest zebrany cały „kwiat" katorgi, najwięksi i długoterminowi przestępcy i gdzie zarazem kary cielesne są wykonywane tylko z wyroku sądów — wpływ „Iwanów" jest bardzo mały. Nie mają oni żadnego znaczenia.

Ich nawet „krzywdzi" „szpanka"! A jeszcze przed kilku laty „Iwany" więzienia aleksandrowskiego słynęli na całym Sachalinie!

Trzymają się oni jeszcze tam, gdzie inspektorowie stosują kary cielesne. W takich więzieniach „Iwan" posiada jeszcze pewną aureolę, choć nie tak świetną, jak za czasów Razgildiejewa.

Władzę i znaczenie „Iwanów" znacznie podkopały... zaburzenia podczas cholery. Sprawdziło się tu przysłowie o szczęściu w nieszczęściu. Do atmosfery więzienia, do tej atmosfery zgnilizny i krwi, wdarł się strumień czystego powietrza. Turmy sachalińskie napełniły się ludźmi, których na katorgę przyprowadziło tylko nieszczęście, którzy popełniali straszne czyny tylko dlatego, że ich samych zgroza ogarnęła; którzy nie rozumieli, co robili; ludźmi ciemnymi, ale nie rzeczywistymi zbrodniarzami *). Ci nowi, uczciwi i pracowici ludzie nie chcieli poddać się prawom, ustawom i porządkom, ustanowionym przez zabójców.

Ponieważ ich było wielu, więc przeciwstawili „Iwanom" rzeczywistą na katordze siłę—pięści. Biedna, ograbiona i zgnębiona przez „Iwanów" „szpanka," poczuwszy w tamtych przyjaciół, stronników i towarzyszów, podniosła głowę i połączyła się ze świeżo przybyłymi. Przeciwko „Iwanom" wystąpiła masa. Doszło do tego, że kilku z nich śmiertelnie pobito. Był fakt niesłychany w dziejach katorgi. Wszystko to strasznie podkopało powagę „Iwanów."

Ale największym dla nich ciosem było złagodzenie kar cielesnych. Z „Iwanów" zdjęto w znacznym stopniu aureolę męczeństwa. Już teraz, zabierając katorżnikowi ostatki, nie mogą oni powiedzieć:

— Alboż ja krwią i ciałem swojem nie płacę?

„Iwany" są jeszcze, jak rzekłem, w tych więzieniach, których inspektorowie lubią stosować kary cielesne.

Ale już nie mają oni tej władzy, jaką posiadali jeszcze niedawno. Często nad wieczorem, w jakimś kącie „kajdanowej" można posłyszeć, jak zebrana gromadka „Iwanów" wspomina dobre, dawne, niepowrotne czasy, gdy katorga ich czciła i poddawała się władzy.

W opowiadaniach tych daje się czuć nuta elegijna tęsknoty.

— Nie wróci już ta władza, nie wrócą warunki dawne.

„Iwany," ci arystokraci cierpienia, urodzili się śród świstu batów, „komli," rózg i razem z niemi znikną.

(C. d. n.)

*) Wszyscy zesłani za zaburzenia — ułaskawieni i zamiast w katordze, mieszkają na osiedleniu.

nę z r. 1870—71 za wypadek „tylko historyczny,“ nieusoosobiony do ujęcia za broń w celu odbicia straconych prowincyj — jest niegodnym imienia Francuza.“

Setny starzec! Ale nowoobrany akademik, Albert Vandal, wyjaśnia nam nieco szczegółowiej ów entuzyazm:

„Według traktatu frankfurckiego uśmierzenie byłoby kapitulacyą gorszą od wszelkiej innej. Czy dlatego, że znaleźliśmy przyjaciół, winniśmy zapomnieć, że straciliśmy braci?“

I tak dalej.

Zostawmy teraz tych członków Instytutu, Izby i rządu i przejdźmy do ludzi istotnie myślących, z których opinią należy się liczyć.

Posłuchajmy Henryka Mareta:

„Domyślacie się łatwo, co ma odpowiedzieć na pytanie stary szermierz, opuszczony nędznie przez dawnych towarzyszów broni.

Nikt bardziej ode mnie nie wierzył w odwet, nikt nie prowadził bardziej patryotycznych kampanij, nikt goręcej nie kochał Francyi. Dziś nie wierzę już w nic, ani w nikogo.

Skrowienie (avachissement) jest ogólnem. Tchórzostwo jest wszędzie. Rząd, którego tchórzliwość dorównywa idyotyzmowi, kieruje narodem rozmiękczonym, niewzruszanym, ani nieporuszanym przez nic. Nigdzie ani śladu jakiejś namiętności. Wszędzie troska o interesy nędzne i maluczkie. Nie potrzebujemy tego kryć przed sobą. Obudziliśmy się z pięknego snu. Ten naród już skończył.

Otóż moja odpowiedź jest następująca: Dla olbrzymiej większości Alzacya i Lotaryngia są krępujące, ta kwestya jest wogóle starą gitarą. Wszyscy chcą na gwałt spokoju i ostatecznie zgadzają się między sobą, że wstyd jest także dobrą poduszką, na której można się wyspać. Jeszcze kilka lat, kilka miesięcy może, a będziemy dzwonili w kieliszki z Niemcami.“

Czuć i tu oburzenie, ale szczere i bez tła obłudnego, jak u tamtych.

Jednak i stary, zapatrujący się na sprawę alzacko-lotaryńską tak namiętnie, nie są liczni. Większość zgadza się z obecnym stanem rzeczy, twierdząc najczęściej, że przed każdem śpiewaniem żalów nad Alzacyą należałoby wpierw spytać Alzatczyków, czy istotnie im bardzo źle. Dopiero po odpowiedzi twierdzącej można zaintonować pieśń. Inni wprost oświadczają, iż bądź co bądź Alzacya nie była krajem francuskim i wykazują, jak znana przyrodniczka, pani Klemencya Royer, bardzo dobitnie luźność związku „dwóch prowincyj“ z organizmem Francyi. Pogląd członków ligi pokoju, w szczególności Gastona Mocha, podawałem już niegdyś w *Prawdzie*.

A młodzież? Prawie jednogłośnie wyznaje obojętność dla całej sprawy. Mamy na myśli znowu, nie młodzież należącą do tłumu, czerpiącą swą mądrość z ostatnich dzienników i manifestującą obecnie po ulicach przeciw Żydom. Idzie o tych, którzy zastanawiają się.

Przyczyny obojętności są rozmaite. W każdym razie niewiele wpływa na to „twarda walka o byt.“ Myśli szersze i głębsze wnikają w młode umysły.

M. Magre pisze:

„Niezmierna żądza sprawiedliwości i solidarności porusza współczesną ludzkość. Około nas tyle cierpienia, że pierwszym obowiązkiem człowieka jest nieść ulgę i pomoc. Stąd myśląca młodzież i klasy ludowe — to znaczy dwa prawdziwie żywotne składniki kraju — dążą do zastąpienia dawnych ideałów odwetowych ideałem wyższym dobroci.

Nie widzę przeto potrzeby, dla której mielibyśmy zapalać się do rzezi.“

Zdanie A. Ferdynanda Herolda, bardzo utalentowanego dramaturga i poety, uzupełnia słowa Magre'a:

„Mówi się wiele o Alzacyi i Lotaryngii; uważa się zawsze za możliwą wojnę francusko-niemiecką. Jużci klasa mieszczańska musi mieć pozór do utrzymywania stałej armii. To najlepszy jej obrońca; ale gdyby miało się odwagę być szczerym, to nie trudno by było o wyznanie, że ugoda frankfurcka wydaje się już równie daleką jak utrechcka, i że wojna z r. 1870 jest wypadkiem ściśle historycznym, jak np. wojna o następstwo tronu w Hiszpanii. Tak mało myślimy o Alzacyi, że oklaskujemy nowy sojusz, ponieważ, według ogólnego przekonania, zapewnia on *statu quo*.

Gdyby rząd francuski ośmielił się wydać wojnę Wilhelmowi II, nikt we Francyi nie przyjąłby dobrze tej wiadomości. „Miłość ojczyzny“ nie przeszkadza bankierom paryskim wchodzić w konszachty z berlińskimi. Ażeby wybuchła wojna, potrzebaby jakiegoś nieprawdopodobnego zajścia, np. powstania w Alzacyi i Lotaryngii. Ale na mocy jakich praw logiki mógłby rząd francuski interweniować na ich korzyść, jeśli podtrzymuje Abdul-Hamida w Armenii i regentkę hiszpańską na Kubie?“

Tak z jednej strony nowe dążności, z drugiej krytyka, wreszcie inne czynniki wpłynęły na odstrychnięcie się najważniejszych części narodu od chóru odwetowców. Wylicza je i uzasadnia bardzo udatnie Leon Ristor, wyodrębnia z nich szczególnie powszechność służby wojskowej, z natury rzeczy usposabiającą chłodno do krwawego tańca. Wreszcie w zdaniach i wywodach panuje wielka różnorodność. Kilka głosów wybranych daje tylko szkielet całej budowy.

Ostatnie dni dostarczyły bardzo ciekawego komentarza do ankiety „Merkurego.“ Wiadomo, że Scheurer-Kestner i część przeciwników Esterhazego pochodzi z Alzacyi. Otóż ogromne grono krokodylów prasowych i rządowych, tak żałośnie płaczących nad bracią alzacką, otarło teraz łzy i wrzasnęło chórem na opornych, że są z urodzenia już Niemcami, zdrajcami itp. Jasny dowód szczerości dawnych zapałów.

W. Bugiel.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Jeszcze jedna rada.

„List otwarty“ p. W. Wojciechowskiego do warszawskiego Towarzystwa odgrodniczego stwierdza jeszcze raz przysłowie francuskie: „krytyka jest łatwą, ale sztuka trudną.“ To bowiem, co autor mówi o bezpłodności działań Towarzystwa i ich kierunku wytkniętego interesami „kliki,“ jest poniekąd słusznem; ale to, co wzamian sam projektuje, odznacza się tylko mocną wiarą w doskonałość własnego pomysłu. Mianowicie, p. W. uznając dzisiejsze (różnorodne) prowadzenie ogrodów wiejskich za „samobójstwo rachunkowe,“ zaleca uprawy jednorodne, zastosowane do warunków miejsca i rozmierzone na większą skalę. Rada w teoryi dobra, ale łudzić się, że Towarzystwo znajdzie odpowiedni zastęp specyalistów, których roześle po kraju, a ci wskażą nieomylnie każdemu właściwy produkt do wielkiej i korzystnej hodowli — jest to fruwać na skrzydłach fantazyi. Tą drogą nie powstawały nigdzie żadne kultury. Ciekawa rzecz, jakby wyglądało Towarzystwo, gdyby przez swego pełnomocnika zaleciło jednemu ziemianinowi uprawę kilku mórg cykoryi, a drugiemu — chrzanu i gdyby jego pupilowie przez lat kilka nie sprzedali swoich produktów. Trzeba znaleźć wprzódy rynki dla zbytu? Znaleźć rynki — to tylko dwa wyrazy, ale bardzo dużo starań i trudów. Tu musi każdy torować drogę dla siebie i na własne ryzyko. Dopomogą mu zaś wielce wyśmiane przez autora ogródki doświadczalne, prowadzone w różnych miejscach według planu i wskazówek Towarzystwa. Najdotkliwszą bowiem biedą naszego ogrodnictwa jest właśnie to, że my prawie zupełnie nie wiemy, co i gdzie możemy uprawiać z powodzeniem. Nie mamy doboru ani drzew owocowych, ani jarzyn, a śród chaosu jednostkowych głosów idziemy w ciemności, nie znając drogi i celu. Poletka doświadczalne — to rzeczywiście nie „interes“ dla obywatela, ale gdyby systematycznie, ściśle i długo przeprowadzone doświadczenia wydały tylko ten skutek, że składy nasion, zamiast sprowadzania wszelakich według katalogów zagranicznych, sprzedawałyby niewiele wypróbowanych, a w szkółkach drzew owocowych hodowanoby niewiele odmian najlepszych dla naszego kraju, wtedy nawet obywatel odnalazłby tu swój „interes,“ a proponowani przez p. W. instruktorowie na podstawie osiągniętych w praktyce wskazówek z większą pewnością mogliby udzielać swych rad ziemianom. Nasze Towarzystwo ogrodnicze jest towarzystwem gadającem, przesypało ono na zebraniach, pogadankach, w prasie, korce słów, które wiatr rozwiał, a zrobiło bardzo mało. W dziedzinę czynów weszło przez ogródki doświadczalne, nie odwołujmy go więc z niej i czekajmy rezultatów.

Prawda czy potwarz?

I my mamy swoje ciekawe odkrycia, czyli — jak mówi dziennikarz warszawski — „sensacyjne rewelacye.“ Oto w *Przeglądzie Farmaceutycznym* p. J. Gr. odsłania nam jedną z tajemnic stosunku lekarzy do aptekarzy. Trzeba ten sekret przytoczyć dosłownie:

„Niema w Warszawie prawie apteki, któraby nie płaciła *stałego haraczu* lekarzom, czy to w postaci procentu od wyekspedyowanych recept, czy też upominków; forma jednak opodatkowania aptek przez lekarzy bywa czasem ulepszoną, istnieją bowiem jeszcze więcej pomysłowi synowie Eskulapa, którzy po to biorą lekarstwa z aptek dla siebie i swego domu darmo, ażeby takowe później *słono sprzedać* dobrze płacącej, bo potrzebującej publiczności!.. Jak widzimy z powyższego, spółkę z lekarzem zawiera nie apteka, lecz przeciwnie. Lekarz, stanąwszy nieco silniej na nogach, zdobywszy liczną dla siebie klientelę, wymaga już od aptekarza odpowiedniej *stałej płacy*, a jeżeli ten aptekarz nie zechce czy nie może zadośćuczynić wymaganiom jego, natenczas lekarz wszystkie recepty swoje opatruje adresem innej, choćby nawet dalekiej apteki, wprost odsyłając chorych tam, gdzie więcej od przysłanych recept zapłacą. Co pewien czas lekarz taki nawiedza swą aptekę, aby skontrolować liczbę przysłanych przez siebie recept i otrzymać od aptekarza swe „ciężko zapracowane honorarya.“ Rzeczy te są na prowincyi i w Warszawie tak znane, tak częste, recept opatrzonych adresami aptek... tak dużo...“

Autor tego oskarżenia nie spodziewa się usunięcia wyzysku, gdyż „najwyższa instancya, mogąca mieć wpływ na stosunek lekarza do aptekarza i względnie do społeczeństwa — etyka koleżeńska pomiędzy lekarzami już dawno zbankrutowała, już nie istnieje i jest tylko mitem w rzeczach medycyny praktycznej.“

Nam się zdaje, że tu „etyka koleżeńska" nie jest powołana do uzdrowienia choroby, że ona wcale nie zbankrutowała i że jej nic a nic nie obraża haracz aptekarski. W tym wypadku, jak zresztą w każdym innym, najpewniejszą miarą czynów i najskuteczniejszym środkiem do wykorzenienia zła jest etyka zwyczajna, nieznająca rozmaitych „względów" i nieudzielająca rozmaitych odpustów, którymi handlują etyki zawodowe.

Co do samego faktu, sądzimy, że pisma lekarskie zajmą się nim i postawią oskarżenie *Przeglądu Farmaceutycznego* w świetle prawdy.

O przysięgę.

Według prawa, świadkowie powinni być badani w sądach pod przysięgą, jeżeli strony od tego obowiązku ich nie zwolnią. Wskutek wszakże okólnika, wydanego przez Zjazd (jaki?), sędziowie gminni poddają przysiędze wszystkich świadków nawet w sprawach najdrobniejszych. Otóż *Wiek* występuje przeciwko temu zwyczajowi, twierdząc, że takie spospolitowanie przysięgi, zwłaszcza dokonywanej bardzo pospiesznie, pozbawia ją uroczystego charakteru. Należałoby ją — według niego — stosować tylko w wypadkach szczególnie ważnych. Nie śmielibyśmy tak stanowczo wyrokować w tym przedmiocie. Jest to bowiem rzeczą powszechnie znaną, że lud nasz, dzięki ciemnocie i nadzwyczajnej słabości w jego sumieniu innych pobudek moralnych, oprócz religijnych, przywiązuje niezmiernie małą wagę do zeznań, składanych bez przysięgi. Jest więc bardzo możliwem, że bez tego środka sędziowie mieliby bardzo utrudnioną drogę w wykryciu prawdy i ciągle znajdowaliby się w położeniu Salomonów między dwoma szeregami całkiem sprzecznych świadectw. Trudno tę kwestyę rozstrzygać teoretycznie i dlatego byłoby pożądanem, ażeby w niej zabrali głos praktycy, którzy ją znają z bezpośredniej i dłuższej obserwacyi.

Niezależność prasy.

O ile cieszymy się rozwojem prasy na prowincyi i pragnęlibyśmy, ażeby każde większe miasto posiadało swój organ, o tyle uważamy za objaw bardzo smutny, gdy pisma tego rodzaju starają się wyżebrywać łaski pokorą, uniżoną służbą i pochlebstwami u ludzi i warstw bogatych lub wpływowych. W Łodzi zaczął wychodzić dziennik *Rozwój*. Jest to miejscowość przedstawiająca może najwdzięczniejsze i najszersze u nas pole dla niezależnej krytyki społecznej, a zarazem najbardziej kusząca do zamiany jej na panegiryzm względem możnych. *Rozwój* nie podjął takiej krytyki, a uległ takiemu panegiryzmowi. Czytelnicy jego i nasi zwracają nam ciągle uwagę na objawy uniżoności, które budzą wielki niesmak. To np., że „współwłaściciel jednej z większych fabryk" ożenił się i był „uroczyście przyjmowany" przez swoich podwładnych, którzy mieliby się z pyszna, gdyby go nie powitali muzyką, iluminacyą i napisem „Willkomen" — to, mówimy, jest przedmiotem artykuliku w *Rozwoju*, który nawet dla owego „Willkomen" nie ma ani słowa nagany.

Na obronę tego pisma przyznać trzeba, że dotąd w prasie naszej, a tem mniej w Łodzi, nie podjęto próby poddania gruntownej i systematycznej krytyce stosunków tamtejszych. Niemcy i Niemco-Żydzi łódzcy czekają jeszcze na swego sędziego.

Dzicz.

Gdyby list p. R. Wilczyńskiego, opisujący jego przygodę w Toruniu podczas przejazdu do Berlina, nie był ogłoszony w *Kuryerze Codziennym* z dokumentami urzędowymi, czytając go, zdawałoby się nam, że albo śnimy, albo ktoś nam sen swój opowiada. Za niewinną bowiem uwagę, uczynioną żandarmowi stacyjnemu: „po co właściwie przeglądacie panowie paszporty, kiedy nic z nimi nie robicie," p. W. był włóczony po więzieniach, poniewierany, lżony i stawiany przed sądem, który dotąd ostatecznie jego sprawy nie rozstrzygnął! Gdyby nie wdanie się konsula rosyjskiego i nie złożenie 1,000 marek kaucyi, p. W. dotąd oczekiwałby wyroku w więzieniu. Jest w tej przygodzie coś tak bezmiernie potwornego, że odczuwamy dreszcz przerażenia na myśl, w jakich my okropnych czasach żyjemy, jeśli podobne wypadki zdarzyć się mogą w państwie z wysoką kulturą. Czegóż tu słusznie wymagać można od jakichś dzikich Odżybwów lub Ainów?

Nowa instytucya kredytowa.

Pod nazwą: „Warszawskie Towarzystwo pożyczkowo-oszczędnościowe" powstała instytucya, która dla drobnego kredytu może mieć ważne znaczenie. Opiera ona — jak głosi okólnik — swój byt na samopomocy; mogą do niej należeć wszyscy pełnoletni mieszkańcy Warszawy obojga płci, którzy przy wstępie nie płacą wpisowego i nie ponoszą żadnych opłat stemplowych. Pełny udział członka wynosi 50 rs., które mogą być złożone odrazu lub w ratach, począwszy od najmniej 1 rs. 25 kop. kwartalnie. Bliższych szczegółów udziela interesowanym ustawa. W zasadzie instytucya pomyślana jest dobrze i zapewne zgromadzi znaczne kapitały z drobnych oszczędności; jak zaś ona się rozwinie i jakie odda usługi — o tem będziemy mogli powiedzieć dopiero później.

A domy się walą...

W dalszym ciągu. A jeżeli się nie walą, to się przynajmniej rysują. Poczciwe prawa ciążenia i wytrzymałości materyałów ostrzegają w porę przyszłe ofiary fuszerki przed katastrofami. Naturalnie spekulacya wije się w wykrętach, składając winę na wszystkie potęgi ziemskie i niebieskie, tylko nie na siebie. Ona jest czysta, jak śnieg w chmurze, ona nie pożąda nieszczęścia ludzkiego, tylko... „pragnie żyć" i zarabiać. Wierzymy jej najzupełniej, że nie pragnie, ażeby mury waliły się i zgniatały ludzi, ale to nie przeszkadza nam domagać się, ażeby te niewiniątka, pragnące tylko „żyć i zarabiać," co prędzej znalazły się w kryminale. Obecne wypadki niezmiernie ułatwiły sprawiedliwości wymiar kary, gdyż prawie we wszystkich powtarzają się te same nazwiska majstrów, a po części i budowniczych. Trzeba przecie wynagrodzić zasłużenie tę specyalność wznoszenia domów, które się walą.

BADANIA NAUKOWE.

JĘZYKOZNAWSTWO.

Adam Antoni Kryński: *Gramatyka języka polskiego.* Z zapomogi Kasy imienia dr. Mianowskiego. Warszawa, 1897.

Wobec nawału podręczników, jakimi w ostatnich czasach szczodrze nas obdarzać raczyli powołani i niepowołani pedagogowie, tudzież rzekomi lingwiści, świeżą pracę Kryńskiego powitać należy ze szczególnem uznaniem.

Autor umiał połączyć sumienną naukę z wykładem jasnym, niekiedy obrazowym, a co ważniejsza treściwym i jędrnym. Układ jest bardzo prosty. Rzeczowniki męzkie odmieniają się według deklinacyi I, nijakiego według II, a żeńskie, zakończone na samogłoskę i takież męzkie stosują się do III; ostatnia, t. j. IV, obejmuje żeńskie na spółgłoskę miękką (kość) i stwardniałą (krew). Wprawdzie podział ten nie nadaje się do gramatyki ściśle naukowej w zakresie historyczno-porównawczym, bo nie uwzględnia genezy fleksyjnej języków indo-europejskich w stosunku do aryjskich (wedyjski, sanskrycki, starobaktryjski i staroperski) i wyłącza poniekąd polszczyznę, nietylko z owej grupy języków, ale nawet z gromady słowiańskiej; rozważywszy atoli trudności dydaktyczne, zarzut ten chętnie usuwamy, przyznając układowi temu prostotę, niezbędną w nauczaniu szkolnem.

Słowa dzieli autor na czynne i nijakie. Aczkolwiek podział ten należy do składni w znaczeniu naukowem, jednakże uwzględnienie dydaktyki wymagało pewnego ustępstwa od rygoru lingwistyki specyalnej, zgoła niezależnej od szkoły, która, jak wiadomo, musi udzielać rad i wskazówek co do tak zwanej poprawności mowy, opartej na estetyce, tradycyi i zwyczaju powszechnym, owym w prawidłach mówienia władcy, panu surowym, co wszystko mierzy według stałych zawsze formuł. Czas teraźniejszy jest podstawą do podziału na konjugacye, których jest pięć. Konjugacya I obejmuje słowa, których osnowa (temat) czas teraź. tworzy się w osobie 3 l. p. zapomocą przyrostka *e* (niesie); II *nie* (ciśnie); III *je* (bije); IV *i y* (widzi, słyszy); V *a* zamiast dawniejszego *aje* (dba, pamięta). Dział ten jest najdokładniej w całej gramatyce opracowany. Dzięki bogatej erudycyi i długoletnim studyom p. K., czytelnik oswoić się może z formami archaicznemi, szczodrze w przykładach nagromadzonemi.

Autor przyjmuje w dziejach głosowni dwa ważne nader czynniki: fonetyczny i analogiczny. Pierwszy łagodzi dźwięki (mularz zam. murarz, wiejski zam. wieski); drugi zaś, na podobieństwo pewnych postaci dźwiękowych, tworzy nowe ich kształty (np. miejski zam. miestski na wzór wiejski; rzeknij, tnij, na wzór bij, pij itp.). Dla uwydatnienia genezy fizyologicznej dźwięków umieszczona jest odpowiednia figura, uzmysławiająca nietylko położenie narzędzi mownych, ale poniekąd cały proces wymawiania.

„Samogłoski — mówi autor — są to właśnie tony, które powstają wówczas, jeżeli powietrze przechodzi przez tchawicę i krtań, a naprężone struny głosowe wydają dźwięczne drgania; od formy zaś, jaką jama ustna przybiera, zależy wymówienie tej lub owej samogłoski, np. *a, e, i, o, u, y*." Spółgłoski autor nazywa szmerami, powstającymi w pewnych miejscach jamy ustnej podczas pędu powietrza. Przyczem następuje zbliżenie się lub zetknięcie narzędzi mowy ruchomych (język, wargi i podniebienie miękie) z nieruchomemi (zęby i podniebienie twarde).

Zdaniem mojem, zgodnie z Sieversem [1]) podział na samogłoski i spółgłoski ma jeno znaczenie praktyczne, bo nie opiera się na istocie dźwięków, lecz na różnolitości ich funkcyj. Z tego powodu w głoskach odróżnić należy *dźwięczne* czyli *sonanty* od *spółgłosek*, czyli niezgłoskotwórczych, które nie zawsze powstają z samych wyłącznie szmerów, lecz często z połączenia szmerów z dźwięcznymi [2]). Szmery są wprawdzie głosami, trudno oznaczyć się dającymi w wysokości i dźwięczności, jednak doświadczenie za pomocą resonatoru Helmholza wykazało, że niema właściwej między tonem a szmerem różnicy. Dźwięk składa się z głosu czyli tonu (w znaczeniu akustycznem), szelestu czyli szmeru krótkiego i oddźwięku (resonansu) [3]). Dźwię-

[1]) *Grundzüge der Phonetik.*
[2]) Meyer: *Unsere Sprachwerkzeuge.* Lipsk, 1883.
[3]) Tamże.

ki różnią się rozmaitym stopniem uczestnictwa tych trzech pierwiastków tudzież gatunkiem i właściwością każdego z nich. W szeptaniu słyszymy tylko szmer, bo głosy i oddźwięki giną [1]). Wprawdzie płynne pełnią u nas funkcyę spółgłosek, jednak są ślady, że one były niegdyś w polszczyznie samogłoskami. Ślady tego zachowały się w wyrazach: brnąć (=czes. břisti, broditi se), drwa, drwić, trwoga, krnąbrny, drgać, krtań, Brda itp. W psałterzu Floryańskim czytamy: *zł*ziwich od słza=łza [2]). W czesk. i słowack. płynne noszą akcent; np. czesk. dŕn (darń), kŕk (szyja), vl'k (wilk), ml'k (milczenie); słowackie: zdržat (zatrzymać), sŕn (sarna), hl'bka (głębokość) itp. Nawet słowieński czyli korutański i serbo-chorwacki przedstawiają podobne zjawiska; np. korutańskie: vrch (wierzch), hŕt (hart), pŕst (palec), sŕp (sierp); serbo-chorwac.: vŕh, hŕt, sŕp itp. Co do gwar bułgarskich, to płynne w znaczeniu samogłosek istnieją w gromadzie zachodniej, tj. koło Pirotu, Kratowa, Skopja, Welnsa i Czepina w górach Rodopu; w innych bowiem gwarach płynne pełnią funkcyę spółgłosek. O sanskryckim już nie wspomnę, bo wiadomo, że obok krótkiego *r*, które się wymawia miękko z ledwie pochwytnem *i*, jest jeszcze długie *r*; niema jednak długiego *l*. W niemieck. rit-t*n*, han-d*l*, gdzie *n*, *l* są dźwięcznemi [3]).

Przyczynę miękczenia spółgłosek autor widzi w podniebiennem *e*, *i*, tudzież w spółgłosce *j*. Jest to jeszcze stanowisko ks. Józefa Dobrowskiego, który w r. 1822 podobne zdanie wygłosił. W nowszych czasach wiele się pod tym względem zmieniło.

Rozpatrując rzecz ze stanowiska fizyologicznego, nie widzę w spółgłoskach miękkich żadnego złożenia, jakiego autor zdaje się dopuszczać, porównawszy: miedza = miedja. Tak więc w *dz* utkwiła *j*, która zczasem zanikła; boć sam mówi: „i pierwotna obecność jego może być udowodniona tylko przez porównanie pewnych zjawisk języków słowiańskich z odpowiedniemi zjawiskami języków pokrewnych (str. 29).“ Otóż, zdaniem mojem, wygłaszając spółgłoski miękkie, zwężamy jamę ustną w kierunku do podniebienia, jak to przy *i*, *e* czynimy [4]), gdy przy spółgłoskach twardych jama ustna zachowuje się spokojnie. Łączność z samą jotą nie daje spółgłoski miękkiej, bo mówimy: wjazd, objazd itp. Mazurowie z okolic Suwałk, Bakałarzowic, Sejn, wymawiają twardo: przys-jęga, sierm-jęga, z-jemia i t. d. W sanskryc. *ñ* łączy się nietylko z *j* (añjana), ale i z innymi dźwiękami (añ-nama) [5]). Zmiękczenie polega na upodobnieniu poprzedzającej twardej do miękkiej *i*, *e* z cichem *j*, czyli głoską; wymawianą przy przejściu od poprzedzającej spółgłoski miękkiej do następującej samogłoski, np. b'+(j)ały, zam. biały [6]). Nowe prawo palatyzacyi, czyli zmiękczania spółgłosek opiera się na zasadzie, według której przed aryjskiem (sanskryck., starobaktr. i staropersk.) *a* = indoeurop. *e*, utrzymują się gardłowe, ulegając palatyzacyi przed *i*, *e*, któremu w Europie odpowiadają *a*, *o*. Po raz pierwszy w sprawie tej wyraził się jeszcze Schmidt [7]). Wielu innych uczonych, jak Collitz, Verner i Thomsen, profesor w Lund, przypisuje sobie pierwszeństwo w odkryciu tego prawa. Spór ten

[1]) Purkynie: *Badania w przedmiocie mowy ludzkiej* (*Kwartalnik nauk. krak.*, 1835).

[2]) Leciejewski J.: *Die Spr. d. poln. Th. Florianer Psalter*, *Lautlehre* (*Archiv f. sl. Phil.*, VI).

[3]) Grützner: *Physiologie d. Stimme u. Spr.*

[4]) Baudouin de Courtenay: *Urywki z lekcyj fonetyki* itd.

[5]) Hofforg Julius: *Phonetische Streitfragen* (Kuhn: *Zeitsch. f. vergl. Sprachforsch.*, XXIII).

[6]) Baudouin de Courtenay: *Jedna z kwestyj spornych pisowni pols.*, Warsz., 1891.

[7]) Kuhn: *Zeitschrift*, XXIV, 319.

zaostrzyli Collitz i Osthoff w pracy p. t. *Die neueste Sprachforschung und die Erklärung des indogermanischen Ablautes* (1886), wciągnąwszy weń Karola Vernera, który przyznaje się, że spostrzeżenie Ascollego o dwoistości indoeuropejskich gardłowych nasunęło mu myśl co do podwójnego *a* w językach indoeuropejskich [1]). Collitz [2]) zastrzega sobie wyłączne prawo tego wynalazku, utrzymując, że 1876 r. wiadomości tej udzielił ustnie Bezzenbergowi, Fickowi i w końcu Benfeyowi, którzy świadczą o wiarogodności tego odkrycia [3]).

Przechodzimy do samogłosek nosowych. Twierdzenia, jakoby one zaginęły w językach słowiańskich, nie można nazwać zbyt ścisłem. Żyją one w gwarach południowo-macedońskich, tudzież w Prespa na zachód Kostura, czyli Kastoryi i w niektórych resztkach koło Ochrydy i po części na północy. Dźwięk ten wymawia się na sposób *an*, *en*. Wymowę taką słyszał Jagić z ust Staryona Kostowa [4]). Oprócz polskiego, połabskiego, starosłowiańskiego i poniekąd bułgarskiego, zachowały się tu i owdzie szczątki tych samogłosek, np. czeskie w imionach własnych: S*en*drażico, Ramb*ou*sy, V*en*doli, Lov*en*tici (Lundenburg); następnie *an*, *en* w *A*ngel, V*en*zeslaus [5]). Co do drugiego, lingwista czeski, Gebauer, wyraz ten uważa za formę grecką i łacińską; lubo ona mogła być słowiańską, która przeszła do łaciny; albowiem w kronikach łacińskich czytamy: Zwentislau. Czyżby i tutaj *a* czeskie w „svaty“ miało pochodzić z łacińskiego *en*? Podobnież się rzecz ma co do Z*ue*ntibald, Z*uen*bolchus, Z*uen*debolchus, Z*uen*dibolich [6]), zamiast Świętopełk; u Kosmasa: Zwatoplik. Kontynuator kroniki Kosmasowej z drugiej połowy XIII w. nazywa Szląsk „Slanskiem,“ mówiąc: „totamque partem illius regionis, quae *Slansko* vocatur, penitus igne consumpsit.“ Na Słowaczyźnie słyszeć można: g*am*ba i g*em*ba, p*an*ťaťsa i p*en*tatsa; w gwarach ruskich, zwłaszcza u Łemków galicyjskich, Huculów, Bojków itp. nierzadkie *an*, *en*. Nawet gwara zabielska, będąca odroślą narzecza korutańskiego, zachowała *o* nosowe i *ę*.

W podziale języków grupy aryjskiej autor nie odróżnia mowy dawniejszej, wedyjskiej, od sanskryckiej, dyalektu *gatha* od zendzkiego, czyli starobaktryjskiego, tj. języka Zend-Avesty Zaratusztry (Zaroastra). Gâtha i starobaktryjski mogą mieć wspólne miano „Avesty.“ Nazwa „zendzki“ pochodzi od „zendu,“ komentarza księgi Zaratusztrowej. Należałoby jeszcze zwrócić uwagę, że sanskryt nie jest potomkiem dawniejszego wedyjskiego, bo przedstawia narzecze Brahmavarta, gdy wedyjski należy do gwar zachodnich.

W grupie słowiańskiej, zwłaszcza wschodniej, panuje niescisłość. Narzecze maloruskie nie jest wyłącznie ukraińskiem; gdyż właśnie obok czerwono-ruskiego i poleskiego jest odcieniem ogólne go maloruskiego [7]). Wogóle zasadą podziału narzeczy słowiańskich był układ Maksimowicza, byłego profesora uniwersytetu kijowskiego, o wiele lepszy od Dobrowskiego i Schleichera.

Zaznaczyć należy staranność autora w uwzględnianiu przeszłości języka polskiego i w objaśnianiu form gramatycz-

[1]) *Zur Frage der Entdeckung des Palatalgesetzes* (*Litterarisches Centralblatt*, 1886, nr. 49, str. 1707—1710).

[2]) Bezzenberger: *Beitraege zur Kunde d. indogerm. Spr.*, III.

[3]) Bezzenberger, XII.

[4]) *Wie lautete ą bei den alten Bulgaren* (*Arch. f. slav. Philol.*, III.

[5]) Gebauer: *Hlaskoslaví jazyka czeskeho.* Praga, 1877, str. 33.

[6]) Pertz: *Monumenta Germaniae historica*, t. I i II.

[7]) Ogonowski Emil: *O ważniejszych właściwościach języka ruskiego* (*Rozpr. i sprawozd. wydz. fil.*, X) i *Studien auf dem Gebiete d. ruthen. Spr.*, Lwów, 1880.

nych na podstawie dawnych zabytków. Wykład jasny, poparty erudycyą rozległą, zaleca tę książkę do użytku nauczycieli i młodzieży.

Justyn Feliks Gajsler.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Ignacy Matuszewski: *Swoi i obcy* (Pokrewieństwa i różnice), zarysy literacko-artystyczne. Warszawa, Gebethner i Wolff. 1898, str. 512.

(Dokończenie).

Jeszcze raz powtarzam, że p. Ignacy Matuszewski do takiego zamieszania pojęć zgoła ręki nie przykłada; jest to umysł trzeźwy, jasny i dobrze ukształcony; niektóre wszakże jego wywody i twierdzenia, wzięte oddzielnie, bez związku z tem, co poprzedzało i następuje, mogłyby dać pochop krańcowym indywidualistom do fałszywych wywodów; dlatego uważałem za potrzebne rzucić kilka uwag powyższych. Dołączam do nich jeszcze spostrzeżenia o stosunku sztuki do nauki.

P. Matuszewski przeciwstawia sztukę nauce. Słuszniejszą, chyba byłoby rzeczą, mówić tylko o różnicach, między nimi zachodzących. Przeciwieństwa istotnego niema tutaj i być nie może, bo zarówno jedna, jak druga są wypływem pracy tego samego ducha ludzkiego. Nauka—mówi p. Matuszewski — wznosi się mozolnie od drobiazgowych obserwacyj szczegółów do szerokich uogólnień, sztuka zaś zaczęła od ogólnikowych typów, a kończy na indywidualnych charakterach.“ Ale gdzież tam! Za dni Arystotelesa nieskończenie mniej było szczegółowych obserwacyj, aniżeli za dni Darwina, a jednak Arystoteles o wiele szerzej podawał uogólnienia, aniżeli Darwin. I w sztuce podobnież. W Iliadzie i Odysei znacznie więcej jest żywych charakterów indywidualnych, a mniej typów ogólnikowych, aniżeli w Henryadzie Woltera; a dzisiaj obok szczegółów naturalistycznych lub impresyonistycznych, czyż w sztuce brak alegoryj i symbolów? Charakterystyka nauki i sztuki w ich przeciwstawności, podana przez p. Matuszewskiego, ma uzasadnienie, ale tylko w pewnym ograniczonym zakresie, w pewnych stadyach rozwoju jednej i drugiej. To nawet, co wydaje się stanowczą i zasadniczą cechą sztuki — jej konkretność — niezawsze i nie u wszystkich twórców z jednakową występuje siłą; a podmiotowość również nie tworzy jej znamienia, jeżeli się ukazywała dążność do objektywizacyi w kreśleniu postaci, scen itd.

Scharakteryzowawszy ogólne poglądy p. Matuszewskiego na krytykę, krótko będę mógł się załatwić ze szczegółowemi pracami w jego książce. Wszystkie one obfitują w mnóstwo rozumnych myśli, trafnych spostrzeżeń, subtelnych wywodów; wszystkie pisane są stylem jędrnym, żywym, zajmującym.

Właściwość pisarska naszego krytyka polega na tem, że rzuca raczej myśli garściami, aniżeli wynikliwie łączy je z sobą. Dedukcya nie stanowi silnej strony talentu p. Matuszewskiego; unika jej nietylko w formie, ale, można powiedzieć, nawet w treści. Za przykład posłużyć może artykuł o „Mistycznych pismach Słowackiego w zestawieniu z doktrynami współczesnego okultyzmu.“ Mamy tu interesujące przedstawiony zarys różnych doktryn mistycznych, a po nich przytoczone niektóre myśli i poglądy Juliusza

z epoki towiańszczyzny; wykazania zaś związku ściślejszego wcale nie ma, chociaż autor zapowiedział, że mistyczne pisma Słowackiego należycie objaśnione być mogą dopiero przez zaznajomienie się z nauką okultyzmu.

Gdzie dedukcya mniej jest potrzebną, gdzie idzie o silne odtworzenie wrażeń, jakie nam daje dzieło sztuki, tam p. Matuszewski znajduje się w swoim żywiole i wykonywa tę pracę doskonale. Tu należą rozprawy o Bolesławie Prusie, o Sienkiewiczu, o Byronie, o ideale bohaterstwa w dramacie staroindyjskim, o bohaterach jasełek. Niektóre z nich są istotnem wzbogaceniem naszych wiadomości o utworach literatur obcych; niektóre dają nam samodzielny pogląd na twórczość naszych autorów. Ulubieńcem p. Matuszewskiego jest Bolesław Prus, tak że wobec tego pisarza Sienkiewicz trochę na bok zejść musi. Prus — to artysta-filozof, Sienkiewicz — to niesłychanie utalentowany plastyk. W zasadzie ma p. Matuszewski zupełną słuszność, ale może trochę zanadto stawia w cieniu talent plastyczny, który przecież u powieściopisarza pierwszorzędne ma znaczenie, a trochę zanadto wysławia refleksyjne zdolności Prusa, szkodzące niekiedy doskonałości w tworzeniu postaci i sytuacyj. Dowodem tego, dla mnie przynajmniej, jest przecenienie wartości „Faraona,“ który pomimo zalet nadzwyczajnych, pozostanie chyba w tyle po za innymi wielkimi utworami Prusa. Według p. Matuszewskiego, intryga w „Faraonie“ przeprowadzona jest w sposób bardzo kunsztowny, zawiły i zajmujący; „zwłaszcza od początku tomu drugiego napięcie wzrasta i, rzecz niezmiernie rzadka w twórczości beletrystycznej u nas, nie przestaje wzrastać do samego końca, który nie jest bynajmniej luźną przyczepką, lecz, niby doskonale dopasowany zwornik, zamyka i utrwala wyniosłe sklepienie potężnego gmachu.“ Śmiem twierdzić, że jest to subjektywne tylko wrażenie. Na mnie „Faraon“ podobnego wrażenia nie wywarł; sądzę nawet, że przygody kapłana Samentu są przedstawione w stylu już bardzo starym, sięgającym czasów Dumasa — ojca.

Ale mniejsza o to, czy podzielam, czy nie gusty krytyka, winienem wyznać, że robią one wrażenie szczerości i są wypowiedziane tak ujmująco, że dopóki się czyta rozprawy, niemal podziela się zdania i opinie p. Matuszewskiego; dopiero później, wskutek zastanowienia, przychodzą myśli odmienne. Książka jego wogóle pobudza do myślenia, spełnia zatem najważniejsze z zadań, jakie spełnić może. Nie o gotowe prawdy ostatecznie chodzi, lecz o umiejętne do ich przyjęcia przygotowanie.

Na osobną wzmiankę zasługuje artykulik: „Geneza i znaczenie Eloi w Anhelim Słowackiego.“ Przed laty p. Wacław Gasztowt przy tłomaczeniu „Anhelego“ podał wiadomość, że postać Eloi wzięta jest z poematu Alfreda de Vigny: *Eloah ou l'ange déchu*. P. Matuszewski, nie wiedząc o tem, rozsnuł szczegółowo myśl tę samą, wskazując podobieństwa i różnice między pomysłami obu poetów.

Przy końcu swej książki pomieścił p. M. parę „drobiazgów“ krytycznych. Pomiędzy niemi na największą uwagę zasługuje „Estetyka i publiczność,“ gdzie autor wybornie scharakteryzował modę w gustach estetycznych t. zw. ogółu ukształconego. W króciutkim tym artykule tyle jest trafnych i rozumnych spostrzeżeń, że odczytanie go każdemu przeciętnemu uczestnikowi salonów rzetelny pożytek umysłowy przynieść może, byleby tylko zechciał się nad sobą i swojem otoczeniem zastanowić.

Słówko o języku. P. Matuszewski włada dobrze i poprawnie mową ojczystą, ale nie jest wolny od pewnych zwrotów dziennikarskich, które się na podobieństwo grzybków rozmnażają. Do takich zwrotów liczę galicyzm: „na punkcie“ często się powtarzający w książce, popularny w mowie i w gazetach, ale mocno rażący pod piórem stylisty. Nie mogę także uznać za poprawne wyrażenia: rozumieć co *pod* czem (zam. *przez* co), ani też takiego połączenia przyimków jak: „zarówno *przed*, jak i *w* samej epoce towianizmu“ (str. 254), „cytaty dawne *zamieniliśmy* (zam. zastąpiliśmy) str. 274; obowiązki idą u niego w *drugiej linii*, str. 347 itd. Daruje mi p. Matuszewski te drobiazgowe uwagi, wypływające z dbałości o czystość języka.

P. Chmielowski.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Kazimierz Gliński: *Szaławiła*, krotochwila w 5-ciu aktach. — J. K. Galasiewicz: *Maciek Samson*, krotochwila ludowa w 3-ch aktach (ze śpiewami i tańcami).

„...Dałabym się unieść falom,
Ale żal mi biednych dzieci!
Ile razy na nie spojrzę,
Tyle razy śnię na nowo,
Że napiszesz epopeję,
Albo choćby niezłą bombę —
I wystawisz setki razy
I uzbierasz tyle skarbów,
Że nasz Parnas zamiast tapet
Wylepimy tęczówkami!“

Gdy publiczność frenetycznymi oklaskami darzyła poetę za wesołą krotochwilę, krytyka nasza, a raczej krytyka teatralna, która jest u nas mleczną siostrą różnych ojców komedyi, puściwszy zbieżnego zyza, westchnęła artykulikiem na bolesny temat:

— Poeta i... farsa!

A gdy poeta niesie kwiaty swe do jakiego wydawcy, ten z dobrotliwym uśmiechem tłomaczy mu:

— Jestem z całym respektem dla talentu kochanego pana, ale poezya u nas to luksus, panie, to zbytek! Pisz pan farsy, kochany panie, będziesz miał rozgłos i jakie takie dochodziki...

Poeta wraca do domu, a na progu wita go Muza, ukazując mu pustą portmonetkę. Wieszcz zacina zęby i chcąc pogodzić cztery żywioły bytu poetyckiego, poezyę, krytykę, publiczność i portmonetkę Muzy, pisze dramat.

Reżyser łamie ręce.

— Panie! — biada on. — Nie wystawiłem jeszcze kilku sztuk, już nie powiem: zasłużonych, starych autorów, ale prawdziwych ojców piśmiennictwa scenicznego, a pan chcesz, bym pańską sztukę wystawił? I to jeszcze dramat! Dramat nie poruszy nikogo, krytyka względów nie zna, gdyby więc tak na początek coś lżejszego...

Poeta wraca po raz wtóry do domu i czuje, że drzwi jego otwierają się jak jakaś olbrzymia, bezdenna portmonetka, która go pochłonie razem z jego marzeniami o sztuce...

Ach! chyba się popełni jakie szaławilstwo literackie! Któż go sądzić będzie? Współcześni nie dają ani chleba, ani uznania; potomni chleba dawać nie potrzebują, a do literatury wprowadzą tylko wydmuchane z plew ziarno. Któż zresztą fars nie pisał? Czyż nie pisał ich prawdziwy ojciec komedyi polskiej, Fredro? A gdyby tak zmiąć w ręku kłos dwudziestopięcioletniej działalności różnych innych ojców i po wydmuchaniu francuskich domieszek popatrzeć — cóżby zostało? O ojcowie! Nie wy prawo macie rzucania kamieniem i nie wam biadać nad obniżeniem artystycznych aspiracyj sceny! Bo jeżeli istotnie przestano u nas prawie zupełnie grać Shakespeare'a, jeżeli nie mamy dotąd swojskiego dramatu, jak mamy powieść, nowelę, malarstwo, muzykę — to czyż suflerów pociągniemy za to do odpowiedzialności, czy też was, ojcowie, którzyście przez ćwierć wieku ton w literaturze scenicznej nadawali? Za powieść nie będą odpowiadali drukarze, jeno Prusy, Sienkiewicze, Orzeszkowe, za malarstwo nie Krywulci, lecz Chełmońscy, Gierymscy, za muzykę nie orkiestry i śpiewacy, lecz Żeleńscy, Noskowscy, Paderewscy. Nie przypinajcie sobie skrzydeł do ramion pisząc krytyki, jeśli wasza myśl dramatyczna nie miała ich przez lat dwadzieścia pięć!

Ktoby szukał sensu w krotochwili, wywierałby wrażenie człowieka, chcącego czerpać wodę przetakiem. Krotochwila nie żyje sensem, ani też dowcipem; żyje jedynie humorem. Humor i werwa, oto dwie jej nogi, na których stoi. „Szaławiła,“ to krotochwila nawet z rzadkim, jak na dzisiejsze czasy, humorem.

Zbyt błahą jest treść tej krotochwili, aby przytoczenie osnowy mogło czytelnikom wyjaśnić jej powodzenie sceniczne. Przybyły do Warszawy obywatel ziemski imieniem Gustaw zamiast sprzedać dobrze wełnę i uraczyć Warszawą żonę, zaplątał się w sidła śpiewaczki operowej. Żona przy pomocy wuja udaremnia zdradę i ośmiesza szaławiłę. Wuj mieszka obok śpiewaczki; szaławiła zamiast do jej mieszkania, trafia do siedziby wujowej, gdzie przebrana za divę żona przyjmuje od męża pieszczoty, brylanty i tęczówki. Przyjmuje i zamiast rozkoszy pokazawszy figę, ucieka. Do wściekłości doprowadzony zaślepieniec mniema, iż wymykająca mu się z rąk diva biegnie na inną schadzkę; po odniesionej porażce zachodzi do mieszkania wuja, zastaje tam tę, która według jego mniemania tak sobie z niego zadrwiła, więc zarzuca ją wyrazami pogardy, że się starcowi oddaje, jednem słowem wyrasta w oczach prawdziwej divy, która o niczem nie wie, na kompletnego waryata. W ostatnim wreszcie akcie żona nieszczęśnika odgrywa rolę wiarołomnej, więc po wyjaśnieniu konfliktu lekkomyślny szaławiła odczuwa to, co człowiek, który we śnie nabroiwszy porządnie, zostaje skazany na chłostę i w chwili rozpoczęcia tej bolesnej operacyi odmyka oczy, doznając słodkiej rozkoszy przebudzenia się.

Trzy pierwsze akty są w porównaniu z końcowemi słabe, natomiast akt czwarty i piąty są jednolitsze w budowie, przechodzą nawet trochę z farsy w komedyę.

Aktorzy grali koncertowo.

Jeden z wielkich naszych krytyków teatralnych powiedział świeżo, że Galasiewicz zna lud najlepiej, gdyż z ludu pochodzi i z gromadą wiejską nie zerwał. Jest to zdanie, które przedewszystkiem zbija sam Galasiewicz swoją krotochwilą. Galasiewicz na krok nie odstąpił od dotychczasowego szablonu sztuk ludowych; patrzy wraz ze swymi poprzednikami na lud ze stanowiska szlachecko-ekonomicznego, ziemianina-pracodawcy; przedstawia chłopa nie takim, jakim jest, lecz takim, jakim by go chciał mieć ziemianin pracodawca. Możnaby ułożyć dekalog dla chłopa na podstawie tendencyj dotychczasowych sztuk ludowych, a Galasiewicz byłby autorem połowy przykazań. Dekalog taki brzmiałby mniej więcej jak następuje: 1) nie będziesz ulegał prądom emigracyjnym, 2) nie będziesz chodził na robotę do fabryk, 3) nie będziesz zamieniał sukmany na surdut, 4) nie będziesz pił, 5) nie będziesz się po sądach włóczył, 6) nie będziesz śpiewał „Małgorzatki,“ jeno krakowiaczki i wyrwasy, 7) nie będziesz pożądał świata po za wsią, 8) będziesz czcił tradycye ojców, z wyjątkiem 9) łakomstwa na cudzą własność i 10) będziesz sobie ciągle śpiewał: „Bom ja władca, bom ja król śród zielonych łąk i pól!“ Ten ciasny, kastowy pogląd, zabarwiony

łzawym sentymentalizmem, zaciemnia do tego stopnia oczy autorom sztuk ludowych, iż marnują najwspanialsze tematy. Lud ze swemi żywiołowo wybuchającemi namiętnościami — to otchłań przeróżnych tragedyj; lecz aby tragedye te dojrzeć, trzeba mieć oczy i umieć patrzeć. Dotąd jeden Sewer w swoim „Marcinie Łubie“ wykazał, że chłopa zna, aczkolwiek i on według nas zbłądził, wprowadzając pierwiastek sentymentalny, pseudo ideowy do swego dramatu w postaci syna Marcinowego, który wraz ze swoją Macochą, deklamującą Mickiewicza, wywiera wrażenie wyciętego z tekturki kaznodziei śród ludzkich wilków i rysiów. Chłopi nie są sentymentalni, a przytem mało zwykle mówią w gniewie, ale dużo robią. I to jest znowu wspaniałą cechą, zmarnowaną przez autorów. Chłop nasz ma w sobie coś szekspirowskiego; jest nad wyraz zawzięty, chytry, mściwy, wierzy w swą słuszność i gotów dla jej obrony popełnić zbrodnię; chłop ma dotąd odrębną etykę, Bóg w jego mniemaniu jest Gospodarzem dobrym, a szatan gospodarzem złym, złym sąsiadem chłopa i złym sługą Gospodarza na Niebiesiech. Chłop nasz wierzy w swój rozum, dyabła uważa za głupca i nawet nie bardzo się go boi. Chłop wszystko widzi, wszystko po swojemu krytykuje i wyśmiewa, a dowodem liczne piosenki na złych pasterzy jego duszy. Każdej chwili porzuci „zagrodę ojców,“ jeżeli mu w niej głodno, a gdzieindziej świta nadzieja zarobku Mazurzy naprzykład mają silny talent kolonizacyjny i gniazdami całemi wciskali się pomiędzy Rusinów. Płynie ta chłopska rzeka szerokiem korytem, burzliwa i mętna; lecz dramatyczni autorzy czerpią tę wodę do swych szabloników, dystylują, cukrzą i podają do picia mało wybrednej i niewyrobionej publiczności. A przytem autorowie ci, jakby w obawie, że publiczkę znudzą, starają się uraczyć ją całym arsenałem wrażeń. Aktor, jak lalka w szopce, najpierw wygłasza monolog, potem sens monologu ilustruje śpiewką z towarzyszeniem orkiestry, wreszcie zakasawszy sukmanę zaczyna *pas de deux*. Jest to zaiste gust godny widzów bud jarmarcznych.

To, co się powiedziało wyżej, powiedziało się dlatego, ponieważ z pierwszego aktu „Maćka Samsona“ widać, że Galasiewicz, gdyby miał odwagę, ochotę do szczerej pracy dla sztuki i pogardę dla taniego aplauzu, to mógłby zaawansować z tytułu pierwszego wodewilisty ludowego na tytuł dramaturga rodzajowego. W pierwszym akcie jego krotochwili zbierają się w gospodzie dwa światy ludowe, wiejski i fabryczny; jedzą, hulają, bawią się, snują plany, jednem słowem żyją. Jest to obraz ogromny, a tak prawdziwy, tak barwny, tak dosadnie rysowany, że gdyby sztuka tym torem była poszła, przybyłby literaturze naszej wspaniały utwór, już nie ludowy, ale wogóle utwór. Lecz jak w „Upiorach“ Ibsena, tak w głowie autora zaczynają „przeszkadzać“ stare grzechy i nawyczki „przodków,“ autor przeląkł się kilku śmiałych kroków i zniża lot, a zniża go tak gwałtownie, że zaczyna pełzać na czworakach jak dziecko. Równocześnie z obniżeniem treści następuje obniżenie roboty artystycznej; już w drugim akcie zaczyna akcya rozwijać się szeregiem monologów bezpośrednio po sobie następujących. Wreszcie spada autor tak nisko, że pakowaniem chłopów do worków stara się zabawić publiczność.

Źle, źle i nieuczciwie postępuje krytyka teatralna, utrwalając w błędach zdolnych autorów i w karczemnych gustach niewyrobioną publiczność. Galasiewicz niegdyś zasłynął „Czartowską Ławą.“ Sława ta wyrosła wprawdzie w teatrzykach ogródkowych, ale bądź co bądź literatura nasza opisowa, jak powieść i nowela, nie stała jeszcze na tym stopniu rozwoju i nie przeszła tak do publiczności, jak obecnie. Dziś według nas powieść i nowela z życia ludu zajęła takie stanowisko w piśmiennictwie naszem, że już nie wolno nawet na scenę pisać tak, jakby się tego wszystkiego nie czytało. Przecież i autor dramatyczny u nas powinien być literatem...

Powinien być nim tem bardziej, że materyał wykonawczy przedstawia się niezwykle dodatnio. Aktorzy grali przeważnie z wielkiem zacięciem, niekiedy nawet z brawurą. Mając taki materyał, można pisać!

W końcu wypada nam zaznaczyć, że rozbiła się istna bania z krotochwilami. Świeżo mieliśmy „Wesele Fonsia,“ „Szaławiłę,“ teraz „Maciek Samson,“ istna trójka hultajska, a każda „bierze“ publiczność. Czy czasem tej wesołości nie zawiele? Prawdopodobnie i sceny i autorowie dramatyczni przechodzą kanikułę karnawałową.

Andrzej Niemojewski.

MALARSTWO.

J. Brandt. — K. Laszczko. — Wystawa „Sztuki krakowskiej.“

Wykołysały go szerokie, bezbrzeżne, szmaragdem traw i tęczą kwiatów różnobarwnych malowane równie ukraińskie. Gdy począł tworzyć, „duch od stepu“ nań powiał, a sież przez rozdział wieków wyciągnęła do niego rękę. Brandt zrozumiał tę duszę stepu, umiał ją odczuć i w dzieła swoje tchnąć. A rycerze-sokoły zapełnili jego obrazy życiem. Oto wiązanka tematów Brandtowskich. Morze zieleni u dołu, morze błękitów w górze, a na tem tle, jak wyspa tęczowa, garść zaporożców; na przedzie kilku śpiewaków z teorbanami, za nimi poważna starszyzna o mlecznych wąsach i surowej twarzy, dalej młódź dzika, nieokiełznana, na dziarskich rumakach, grzmi pieśnią i strzałami, wysokie czapki ciskając w górę. To Brandt wita stepy. Inny obraz. Kozakom na karki spadli, jak orły, towarzysze pancerni; skłębiona masa ciał ludzi i koni, szable ciskają błyskawice, na trawie gdzieniegdzie ogniem świecą krwawe plamy; to utarczka rycerzy z siczowcami. Ile w tem niepohamowanego ruchu, bujnej siły i jaki przepych barw! Lecz Brandt umie również na czarne, nocne tło stepu rzucić zbłąkany tabor wieśniaczy: przy świetle kaganka tłum kmieccy, uciekający przed pogonią, padł w rozmodleniu przed cudownym obrazem Bogarodzicy... Jaka z tych twarzy prostych, chłopskich bije silna, głęboka, a jednocześnie naiwna, prawie pierwotna wiara! Brandt, to malarz niepowstrzymanej siły, niespętanych ruchów, bezbrzeżnych stepów i również bezbrzeżnej tęsknoty. Czy więc miejsce mu na dworze królewskim? Chyba nie. To też ostatni jego obraz, znajdujący się obecnie w salonie Tow. Zach. Szt. Pięk., nie dorasta do tego poziomu, na którym stoją inne dzieła tego artysty. Król Jan z Marysieńką wyjeżdża z Wilanowa. Półmrok zimowy: nie wiemy, czy to szarość, którą wita i rozprasza rodzący się dzień, czy ta, którą żegna on, konając. W głębi majaczy niejasno, gdzieniegdzie purpurowem światłem kagańca, czy pochodni oblana sylwetka pałacu wilanowskiego. W saniach, w czwórkę koni zaprzężonych, siedzi bohater z pod Wiednia z Maryą Kazimierą. Konie suto w szkarłat i złoto przybrane, na każdym z lewej strony — strojny foryś. Za parą królewską poważnie i bogato, na rumakach wspaniałych ciągnie świta. Z obu stron na koniach i pieszo szlachta, towarzysze i t. d. Z prawego i lewego boku szpalery halabardników. Przodem pieszo pędzą dwaj Tatarzy z płonącymi kagańcami. Goreją również światła dookoła w rękach orszaku. Choć kształtami niewielka, bo na drugim, a nawet na trzecim planie umieszczona, przyciąga jednakże silnie wzrok widza twarz rycerskiego króla. Mało ona jakiś poważny, niemal smutny wyraz. Czyżby pod szkarłatem i purpurą, pod złotem i klejnotami widział Jan szwy, pękające na świetnym niegdyś płaszczu Rzeczypospolitej? Czy też smutno mu, że on niezwyciężony, on — pogromca hord tatarskich i zastępów sułtańskich, kark giąć musi przed tą lalką, co w atłasy i futra spowita obok niego w saniach siadła? Bo tylko lalką nazwać można tę postać niewieścią, której twarz może również dobrze należyć do królowej Marysieńki, jak i do wojewodziny lub damy dworu. Nie malować Brandtowi tych lic niewieścich drobnych, delikatnych, jakoby dłutem Cellinigo rzeźbionych; on tworzyć potrafi tylko sumiaste, poważne, a pokiereszowane oblicza rycerskie, a jeśli kobiece — to te proste, jak toporem wyrąbane twarze chłopskie, z których wieje również niezłożona a krzepka dusza. . Z samym tematem nie bardzo sobie Brandt poradzić umiał. Jego ogromna, nieznająca granic fantazya nie pozwoliła się nagiąć do „porządnej“ etykiety dworskiej. To też obrazowi brak koniecznej w danym razie ze względu na treść harmonii układu. Nie wiadomo, kto właściwie za parą królewską dąży, kto odprowadza, kto na jej spotkanie wybiegł itd. Wydaje się, że oto lada chwila cały ten szyk sztuczny się rozpadnie, że jeźdźcy wnet rumaki w galop puszczą, aby się po stepach rozlecieć, a jednocześnie tłoczy widza ta przestrzeń ścieśniona, zduszona w głębi murami pałacu, przestrzeń, na której w niepojęty dlań sposób taki tłum ludzi i koni się mieści. Przyzwyczajonemu do zieleni traw artyście nie udał się również i śnieg, nie puszysty i nie elastyczny, lecz jakiś twardy, podobny do drewnianej, na biało z fioletowo-niebieskiemi plamami pomalowanej podłogi. Główna zaleta obrazu Brandta to, jak zwykle, wspaniałe konie oraz doskonałe w wyrazie i charakterystyce twarze, nietylko stojących na przedzie, jak np. halabardników, lecz i te, co na dalszych się rysują planach. Pyszny jest ten Tatar, biegnący przed saniami (z prawej strony), oblany cały krwawemi refleksami kagańca; mniej już dobry drugi (z lewej), trochę niepojęty w ruchu, wyglądający tak, jak gdyby miał za chwilę upaść lub nad ziemię wzlecieć. Efekty świetlne nie wszędzie się szczęśliwie udały, lecz na obronę Brandta powiedzieć wypada, że takie skojarzenie światła sztucznego z dogasającem, czy rodzącem się dziennem, należy chyba do najtrudniejszych sztuczek malarskich.

Pomimo wszakże swoich licznych wad obraz Brandta na wystawie — to purpurowa szata wielkiego pana śród kubraczków szarych i sukman chłopskich. Bo przeraźliwie szaro i bezbrzeżnie smutno wygląda wystawa stała Towarzystwa. Mimowoli chce się zmienić szyld i na gmachu resursy napisać: „Towarzystwo Zniechęcania itd.“ Bo przecież trudno przypuścić, aby te kilkadziesiąt niedołężnych, uczniowskich płócien i płócienek, między któremi wyróżniają się zaledwie studya Gażyczowej, niezłe — Trębacza (młodszego), oraz ładny motyw uliczny Popowskiego, mogły rzeczywiście dawać jakiekolwiek pojęcie o naszym dorobku artystycznym z dni ostatnich. Sytuacyę ratują trochę dwie rzeźby K. Laszczki.

P. Laszczka w krainie sztuki zarysował się odrazu jasno i wyraźnie. Podbił znawców swą wybitną oryginalnością i szczerym talentem. Dzieła jego nie zawsze mogą być nazwane „pięknemi“ w do-

słownem znaczeniu tego wyrazu, lecz zawsze posiadają swój „styl" i swoją duszę. Pamiętamy wszyscy jego bardzo prostą, a tak oryginalną i śliczną „Zimę," odznaczoną ongi na konkursie rzeźbiarskim, i tak samo pamiętać będziemy każdą prawie rzecz jego. Laszczka nie jest artystą, którego czczą tłumy, bo on dla nich nie zawsze jest zrozumiały, może właśnie dzięki swej nadzwyczajnej prostocie. To też ludzie przechodzą obojętnie obok jego popiersia („W nieskończoność") które stanowi prawdziwą ozdobę wystawy. I nic dziwnego, ta brzydka głowa o zaciśniętych, może anatomicznie nie zupełnie prawidłowo, ustach, osadzona na długiej, cienkiej szyi, pod którą rysuje się wyschła, twarda pierś, zaledwie do kobiecej podobna, nie może pociągnąć przeciętnego widza. Cóż ją zresztą obchodzi tłum? Patrzy ona po nad jego głowami, gdzieś w dal bez kresu, zaświatową, w nieskończoność... Nie znamy prawie rzeźby, któraby potrafiłaby w tak zdumiewający sposób odtworzyć potęgę wzroku. Zda się, jakoby przez te oczy miała kędyś po za światy ulecieć dusza. A ile w tej całej twarzy jakiejś zaciętej, uporczywej energii!..

Druga rzeźba Laszczki (nie pamiętamy jej tytułu) wyobraża uśpionego chłopca z głową, złożoną na ramiona, oparte na kolanach. Temat bardzo prosty, a jednak jak oryginalne wykonanie! Z samego ruchu, z każdej cząstki, z każdej linii ciała wieje jakaś tęsknota, jakieś opuszczenie... Szkoda tylko, że nogi chłopca trochę, zdają się, za długie w porównaniu z resztą ciała...

Czy, dzięki tym cechom wybitnym, jakiemi się talent Laszczki odznacza, można artyście przyszłość świetną przepowiedzieć? Zdaje nam się, że — nie. „Dochodów i rang" dorabiają się nasi artyści wogóle z trudnością, a rzeźbiarzom jest ciężej, niż komukolwiek. A w dodatku, dla naszych przeciętnych mecenasów sztuki ma Konstanty Laszczko tę jeszcze wielką wadę, że jest... zbyt oryginalny...

(D. n.).

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

HISTORYA LITERATURY. P. Chmielowski: „Nasza literatura dramatyczna," dwa tomy (521 i 536 str.). Grendyszyński.

— „Obrazu literatury polskiej" w streszczeniach i wyjątkach przez P. Chmielowskiego wyszedł zeszyt 6.

— Nakładem Gebethnera i Wolffa zaczęła wychodzić „Historya literatury powszechnej" W. Gostomskiego. Dotąd wyszły dwa zeszyty. Cena w prenumeracie 5 rs., z presyłką 6.

PRASA. Zaczął wychodzić w Warszawie pod redakcyą B. Dzierżawskiego miesięcznik „Przegląd dentystyczny." Cena roczna 4 rs., z przesyłką 5.

— „Przegląd farmaceutyczny," pod redakcyą B. Gładycha, dwutygodnik. Cena 4 rs., z przesyłką 5.

SPRAWY SPOŁECZNE. Kuczalska-Reinschmidt „Nasze cele i drogi," szkic do programu działalności kobiecej (25 str.). Dodatek do *Steru*.

BIBLIOTEKA dzieł wyborowych: J. Mohort „Listy do przyszłej narzeczonej" i K. Junoszy: „Listy do cudzej żony."

ENCYKLOPEDYI Orgelbranda wyszedł z. XIII (Arctitis).

POEZYE

NĘDZA

Nędza — dusi się w kącie wychudła i blada,
Wstrętnym łachmanem dziecię wesela odpędza,
Jękiem głuchym natrętnie przechodnia napada,
Dłoń kościstą wyciąga i skarży się — nędza!

Nędza — kładzie się z śmiechem pijanym w rynsztoku,
W szatach jaskrawych zuchwalą rozpustę dopędza,
Nóż porywa z wściekłością palącą się w oku,
Cichym szeptem modlitwy odzywa się — nędza!

Nędza — kona na słomie, samotna rozpacza,
Dnie jednostajne w celi więziennej przepędza,
Wzrokiem błędnym, bezmyślnym dokoła zatacza,
Zdań kawałki bełkoce i miota się — nędza!

Nędza — tłumy zabawia udanym humorem,
Stryczkiem gardło swe ściąga chichocząc, jak jędza;
Kłamiąc dumnie fałszywym dostatku pozorem,
W ciszy głodem przymiera, nie skarżąc się—nędza!

Nędza... kąpie się w złocie i w uciech powodzi,
Wzruszeń sobie niemiłych oględnie oszczędza,
Zimna obok ludzkiego cierpienia przechodzi:
Nędza serca — zgnilizną świecąca się nędza!

RUINA.

Ruina — próchnem muru wykrusza się co dnia,
Pod ciężką dłonią czasu chyli się, ugina,
Głuchem echem przedrześnia wołanie przechodnia,
Mchem szczeliny swe stroi posępnie — ruina.

Ruina — starczą stopą posuwa się drżąca,
Z uśmiechem ust zwiędniętych dni przeszłe wspomina,
Przygasłe mruży oko na promienie słońca,
W ciepłe dnia majowego trzęsie się — ruina.

Ruina — świecidełkiem lubuje się chętnie,
Uśmiechając się gorzko, spija resztki wina,
O upadłych walorach rozprawia namiętnie,
Na podartych atłasach zasiada — ruina.

Ruina — stoi martwa przy myśli posiewie,
Naraz z pianą wściekłości rzuca się, przeklina,
Niszczy własne swe dzieło, a nic o tem nie wie,
Idyotycznie wykrzywia chorą twarz — ruina.

Ruina — rwie na strzępki dawne swe marzenia,
Wszelkie ducha zapędy szyderstwem obcina,
Swoje własne i cudze wyśmiewa cierpienia,
Lodowata, sceptyczna gnuśnieje — ruina!

Léo Belmont.

W DALI.

Pabjanice. *Tygodniowi* piotrkowskiemu donoszą: Oczekujemy tu gorączkowo pozwolenia ministeryum finansów na otworzenie u nas szkoły technicznej. Znaczniejsi obywatele dają na nią gmach i pomoce naukowe, tak że ani ze strony rządu, ani ze strony kasy miejskiej nie jest projektowane żadne subsydyum. Wobec tego słusznem zupełnie jest żądanie, aby szkoła, oprócz praw rządowych, miała opiekunów z pośród obywateli. W tem właśnie leży całe jądro kwestyi i od zadośćuczynienia temu żądaniu zależeć będzie otwarcie szkoły w razie otrzymania pozwolenia. — Niespodziewanie świetnie rozwija się tu chrześciańskie Towarzystwo dobroczynności, zawiązane w czerwcu r. z. Do tej pory liczy ono 170 członków rzeczywistych i jednego honorowego, którym jest p. K. Ender, ofiarodawca 10,000 rs. Obecnie otrzymuje wsparcie 94 ubogich w kwocie od 50 kop. do 1 rs. 50 kop. tygodniowo. Niebawem w nowowznoszonym domu schronienia znajdzie pomieszczenie 24 starców i kalek.

Wilno. Lud białoruski wybiera się do Syberyi. Powodem wychodźctwa, jak utrzymuje korespondent *Kuryera Warsz.*, jest między innemi to, że pomnożona ogromnie od czasu reformy ludność nie może już się zmieścić na gruntach rozdrobnionych, a dokupowanie ziemi, pomimo pomocy Banku włościańskiego, praktykuje się coraz rzadziej. W ciągu lat trzydziestu kilku lud nabył zaledwie około 150,000 dzies. Władze miejscowe żądają jedynie, aby wsie wysłały uprzednio na „wywiady" zaufanych, w celu poznania kraju, do którego się chcą przenieść, i zbadania warunków miejscowych. Gdy tacy delegaci wrócili, już nie setki, lecz tysiące ludzi gotuje się do wyjazdu, likwidując obecnie gospodarstwa i sprzedając całą chudobę, a nawet budynki. Niektórzy oddają grunty swe zostającym na miejscu członkom rodziny, inni gminom do dowolnego rozporządzenia. Każdy z wyjeżdżających obowiązany jest mieć z sobą co najmniej 75 rs. „Patrząc na ten ruch ludu białoruskiego, który tak niedawno jeszcze, trudniej, niż niedźwiedź poruszał się ze swego legowiska, przypominamy — pisze korespondent — dawne wędrowne prądy, które nieprzepartą siłą pchały narody z miejsca na miejsce. Warunki bowiem ekonomiczne kraju naszego, dalekiego od przeludnienienia, nie tłomaczą dostatecznie tej epidemii przesiedleńczej." Jeśli wyjazd włościan na wiosnę przybierze takie rozmiary, jakie się zapowiadają, to w okręgach, objętych tym prądem, nagły ubytek rąk roboczych odbije się dotkliwie.

Petersburg. Biorąc pod uwagę lekkomyślny i szkodliwy kierunek gazety *Mirowyje Otgołoski* w artykule umieszczonym d. 7 stycznia r. b.: „Dodatkowe działy włościańskie," którego autor usiłuje dowieść, że jedynie słusznem i uzasadnionem postanowieniem w sprawie uregulowania stosunków włościańskich powinno być przymusowe wywłaszczenie ziemi, stanowiącej własność prywatną dla dodatkowego podzielenia jej między włościan, minister spraw wewnętrznych polecił wyrazić gazecie pierwsze ostrzeżenie w osobie redaktora Konstantego Trubnikowa.— Z powodu znacznego wzmożenia się epidemii dżumy w Indyach, postanowiono na rok bieżący przedłużyć zakaz odbywania pielgrzymek pątnikom muzułmańskim. Do Indyj wysłano 5 lekarzy w celu śledzenia biegu epidemii.

KRONIKA.

Szkoły. Komisya specyalna pod prezydencyą gen. Pietrowa uchwaliła, że zaczynając od przyszłego roku szkolnego do instytutów: inżenierów komunikacyj, inżenierów cywilnych, górniczego i technologicznego, kandydaci składać będą tylko jeden egzamin wspólny w najobszerniejszym gmachu instytutu komunikacyjnego.

— Ministeryum rolnictwa w r. b. założy 23 szkoły rolnicze w różnych punktach państwa. Jedna powstanie między innemi w Kamieńcu Podolskim. Dotychczas ministeryum założyło już na zasadzie ustawy normalnej 36 szkół rolniczych, 16 ogrodniczych i poświęconych innym specyalnym gałęziom.

— *Kijewlanin* donosi, że w kijowskiem gimnazyum żeńskiem postanowiono zaprowadzić, jako przedmiot nieobowiązkowy, naukę języka łacińskiego za opłatą dodatkową 5 rs. za półrocze.

Wystawy i zjazdy. D. 20 lutego otwartą będzie w Petersburgu wystawa fotograficzna.

— W związku z powszechną wystawą włoską, która ma się odbyć w Turynie r. b., urządzony będzie osobny oddział międzynarodowy elektryczności. Wyznaczył on nagrodę imienia Galileusza Terraris w kwocie 15,000 lirów. Otrzyma ją ten, kto w oddziale elektryczności przedstawi maszynę, aparat lub też pewną liczbę należących do siebie maszyn i aparatów, zdolnych do wywołania znacznego postępu w zastosowaniu elektryczności do przemysłu. Z wynalazkiem na miejscu czynione będą doświadczenia praktyczne.

Koleje i komunikacye. Po połączeniu kolei Nadwiślańskiej z Terespolską pewna liczba urzędników spadła z etatu. Z kontroli dochodów kolei b. Nadwiślańskiej uwolniono niespełna 30 (z ogólnej liczby 105).

— Rząd postanowił zbudować w r. b. następujące linie kolejowe: 1) Kowel-Dąbrowica (długość 130 wiorst), 2) Szepetówka-Płoskirów (84), 3) Kamienna-Knyszyn (50), 4) Szostaków-Kozłowa Ruda (55), 5) Aleksandropol-Erywań (84), 6) Władysławówka-Kiersz (80), 7) Wołczańsk-Kupiańsk (80) i 8) Petichatka-Koristówka (75). Jednocześnie Towarzystwa prywatne budować będą sześć linij: 1) Sokolniki-Witebsk (120 wiorst), 2) Święciany-Poniewież z odnogą do Wiłkomierza (170), 3) Połtawa-Kijów (300), 4) Ługa-Dno (96), 5) Petersburg-Czerepowice-Wołogda-Galicz z odnogą do Kostromy (1,300) i 6) Wschodnio-Dońska (300).

— *Petersb. Wied.* i *Now. Wr.* przytaczają szczegóły o stanie obecnym kolei Syberyjskiej. Na rewirze Ob—Krasnojarsk i na odnodze Tomskiej otwarto w tych dniach prawidłowy ruch osobowy i towarowy, skutkiem czego obecnie ruch ten obejmuje już przestrzeń 2,600 wiorst, mianowicie od Czelabińska do Obi. Zrujnowany przez wylew rewir od Mysowej do Srieteńska ma być odbudowany do jesieni. Dla połączenia obu dróg syberyjskich, będzie urządzona komunikacya przez jezioro Bajkał. Latem i podczas miesięcy, kiedy lody nie są zbyt grube, pociągi będą prowadzone na promach parowych przez statki specyalne, do rozbijania lodów urządzone. Zimą początkowo przewóz odbywać się będzie końmi, następnie zaś — koleją elektryczną, wązkotorową na lodzie. Dla rozpatrzenia wszystkich tych spraw bieżących wyjechał na miejsce osobiście p. minister komunikacyj.

Dobroczynność. Zmarły niedawno w Warszawie były kupiec, obywatel miasta, Jerzy Popowicz, poczynił między innymi następujące zapisy: na schronienie paralityków w Warszawie 1,500 rs., na instytut głuchoniemych i ociemniałych rs. 1,500, na „Przytulisko" 1,500 rs., dla kupców podupadłych lub wdów po nich wyznania chrześciańskiego w Warszawie rs. 5,000, na przytułek dla nieuleczalnych pod wezwaniem św. Stanisława Kostki rs. 2,000. Na powyższych zapisach ciąży dożywocie wdowy po nieboszczyku.

Katastrofy. Przed kilku dniami w Sosnowicach spotkały się pociągi. Z kolei Dąbrowskiej rozbiło się 16 wagonów ładownych.

— W kopalni węgli „Bonne Esperance" pod Wasmes w Belgii, podczas opuszczania windy zerwały się łańcuchy. Zginęło 15 robotników.

Zmarli. Franciszek Koziorowski, b. profesor b. szkoły weterynaryjnej w Warszawie, a następnie instytutu weterynaryjnego. Przetłomaczył „Fizyologię" Weissa.

Odpowiedzi Redakcyi.

Przyj. lud. Jak przyjęto? Jak zwykle: nie zwrócono na naszą myśl należytej uwagi.

Z. Prosimy o odebranie rubla, gdyż takich ofiar żadna redakcya nie przyjmuje.

OFIARY.

Na wpisy dla studentów:

Z Besarabii 50 rs. — Józef Kaczyński 10 rs. — S. Altdorfer z Odesy 46 rs. 15 kop. — A. N. za wieniec dla zmarłego Antoniego Zawiszy 10 rs.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 16 Января 1898 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.